Hal Clement

Mowa ciała

(Attitude)

Astounding Science-Fiction, September 1943
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Dr Little obudził się nagle z wyraźnym uczuciem, że właśnie stanął nad brzegiem przepaści. Otworzył oczy, przywitał go widok metalowego stropu w kolorze miedzi, znajdującego się zaledwie parę stóp ponad nim; kilka sekund zajęło mu uświadomienie sobie, że odległość ta jest stała i że ani nie zbliża się w stronę sufitu, ani się od niego nie oddala. Kiedy to do niego dotarło, przez twarz przeleciał mu grymas obrzydzenia; już wystarczająco wiele dni i nocy mieszkał oraz spał w przestrzeni międzygwiezdnej, aby przyzwyczaić się do nieważkości. Nie było powodu, aby budzić się jak kadet w czasie pierwszego lotu, przytrzymując się konwulsyjnie najbliżej położonej podpory – prawdę mówiąc, w zaistniałych okolicznościach w ogóle nie było żadnego powodu, żeby się budzić! Otrząsnął głowę; zdawało się, że umysł pracuje mu na zwolnionych obrotach, a puls – nagle zdał sobie sprawę, że to łomotanie w skroniach zmusiło go do powrotu do stanu świadomości – musiał znacznie przekraczać sto.

To nie była jego kajuta. Metal ścian był inny, światło było inne – pomarańczowy blask płynący ze cienkich rur biegnących wzdłuż połączenia ściany i sufitu. Odwrócił głowę, by spojrzeć na resztę pomieszczenia, i bolesny grad szpilek i igieł przeszył jego ciało. Próba poruszenia rękoma i nogami przyniosła ten sam skutek; udało mu się jednak wygiąć szyję wystarczająco mocno, aby odkryć, że po same ramiona otulała go workowata rzecz, nosząca wszystkie cechy regulaminowego śpiwora. Ale numer wypisany na płótnie nie był jego.

Po kilku minutach odkrył, że może swobodnie odwrócić głowę i zaczął z tego korzystać, badając otoczenie. Znajdował się w niewielkiej kabinie, całkowicie wyłożonej jakimś metalowym stopem o miedzianym kolorze. Miała kształt sześcioboku, podobny do komórek w ulu; jedynym wejściem był okrągły właz w czymś, co Little przyjął sobie za sufit – choć w locie w stanie w nieważkości, równie dobrze mogła to być podłoga lub ściana. W kabinie nie było żadnych mebli, godnych tej nazwy. Ściany były gładkie, brak było na nich nawet powszechnie obecnych pierścieni, służących do zawieszenia zaczepów kotwicznych śpiwora. Przez kratę pokrywającą właz, przebijało światło, ale z miejsca, w którym się znajdował, Little nie mógł dostrzec przez pręty kraty żadnych szczegółów.

Zaczął zginać palce u nóg i rąk, na ile się dało ignorując wynikające z tego doznania; i po kilku minutach był w stanie poruszać się bez większego wysiłku. Poleżał nieruchomo jeszcze przez kilka minut, a następnie rozpiął górne zapięcie śpiwora. Interesowała go ta krata, i coraz bardziej intrygowało go, gdzie może być. Nie przypominał sobie niczego niezwykłego; sprawdzał w zapasy medyczne, to dobrze pamiętał, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby potem poszedł do swojej kajuty. Co go uśpiło? I gdzie się obudził?

Chwycił za górną część śpiwora i zdarł ją z siebie, uważając, aby jej nie puścić. Zaczął ją zwijać i zdumiony przerwał. Przy każdym ruchu, z włókien tkaniny wzbijała się delikatna jak mgiełka chmurka pyłu, wisząca wokół śpiwora jak atmosfera. Powąchał go ostrożnie i zaczął kaszleć; pył był suchy i nieprzyjemnie łaskotał go w gardło. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie; śpiwór dryfował w otwartym kosmosie przez na tyle długi czas, aby z włókien odparowały wszelkie ślady wilgoci. Rozwinął ponownie górę śpiwora i spojrzał na wypisany na niej numer – GOA-III-NA12-422. Pierwsze trzy grupy znaków potwierdziły przekonanie jakie miał od początku, że śpiwór należał do *Gomeisy*; ostatnia był to osobisty numer wskazujący na tożsamość jego byłego właściciela, ale Little nie pamiętał, do kogo on należał. Fakt, że był wystawiony na próżnię kosmiczną, nie był uspokajający.

Na chwilę odkładając na bok tę część problemu, lekarz zwinął śpiwór w ciasny pakunek. Dryfował nieważki w połowie drogi między sufitem a podłogą, prawie na środku pokoju; właz znajdował się w jednym z sześciu narożników sufitu. Lekko wyrzucił pakunek w przeciwnym kierunku. Uderzył on w przeciwległy narożnik i odbił się od niego, niemal wytracając całą energię; tarcie powietrza zatrzymało go o kilka stóp od ściany. Doktor wolniej podryfował w stronę krata. Wyrzut śpiwora był wystarczająco dokładny, aby krata znalazła się w jego zasięgu; złapał za jeden z prętów i przyciągnął się do niej, jak najbliżej mógł.

Wszelkie resztki wątpliwości, które mogły pozostawać w jego nadal zamroczonym mózgu, co do tego, czy ciągle był na pokładzie Gomeisy, rozwiały się po pierwszym spojrzeniu przez kratę. Właz otwierał się – lub raczej otwierałby się, gdyby został odblokowany – na korytarz, rozciągający się w obu kierunkach tak daleko, na ile mogło sięgnąć ograniczone pole widzenia lekarza. Korytarz miał około trzydziestu stóp kwadratowych, lecz na tym kończyły się jego ortodoksyjne cechy. Został zbudowany z wysublimowanym lekceważeniem dla każdego możliwego wyboru preferowanego kierunku „dołu" lub „góry". Na wszystkie cztery strony otwierały się z niego włazy; te naprzeciwko stanowiska Little'a były okrągłe, podobnie jak jego własny, podczas gdy te w „bocznych" ścianach były prostokątne. Z miejsca przy każdym otworze, na środek korytarza prowadziły solidnie wzmocnione metalowe drabinki, łączące się z ciężkim centralnym filarem gęsto usianym uchwytami do wspinania się. Wszystko to było wykonane z podobnego do miedzi materiału, a jedynym źródłem światła były pomarańczowe rury biegnące w rogach korytarza.

Dr Little utrzymywał swoją pozycję przez kilka minut, patrząc i nasłuchując; ale do jego uszu nie docierały żadne dźwięki, nie mógł też niczego dostrzec przez kraty pokrywające inne włazy. Poświęcił również chwilę uwagi zamkowi własnej kraty, który najwyraźniej mógł być otwierany z obu stron; jednak otwierał się on przy użyciu jakiegoś skomplikowanego klucza, a lekarz nie miał żadnych narzędzi, pozwalających na zbadanie jego wnętrza. Z westchnieniem zahaczył się

jedną ręką o pręty kraty i odprężył się, próbując wywnioskować jakiś logiczny ciąg wydarzeń, który mógłby doprowadzić do tych dziwnych okoliczności.

Gomeisa był ciężkim krążownikiem, zdolnym do obrony przed każdym możliwym atakiem. Z pewnością też trudno sobie wyobrazić atak tak nagły i pełny, że wróg byłby w stanie użyć przeciwko załodze broni ręcznej, nie podnosząc przy tym jakiegokolwiek alarmu – sam pomysł był absurdalny; zaś miotacze stacjonarne dowolnego typu pozostawiłyby na ciele lekarza jakieś ślady, których nie dostrzegał w chwili obecnej.

Co więcej, statek w ostatnim okresie, który Little wyraźnie sobie przypominał, przekraczał względnie pustą przestrzeń między właściwą Galaktyką a Wielkim Obłokiem Magellana – najmniej prawdopodobne miejsce do jakiegoś niespodziewanego ataku. Gęstość gwiazd w tym rejonie kosmosu jest rzędu jedna na osiem tysięcy parseków sześciennych, co pozostawia praktycznie czyste pole dla działania detektorów. Nie, atak nie wydawał się możliwy; a jednak Little został bez żadnego ostrzeżenia pozbawiony świadomości, następnie w tym stanie zabrano go z *Gomeizy* i obudził się w śpiworze, który bardzo wyraźnie wskazywał, że przez pewien czas, przynajmniej część krążownika była wystawiona na działanie próżni kosmicznej.

Czy znalazł się w bazie na którejś z planet, jednej z tych nielicznych gwiazd tej kosmicznej „pustyni”, czy też na jakimś statku o niespotykanej budowie? Stan nieważkości rozbijał pierwszą teorię jeszcze przed jej sformułowaniem; i lekarz popatrzył na swój pas. Przez szklane okienko w wiszącym na nim pudełku zobaczył świecące się lekko włókienko osobistego equalizera; znajdował się na statku, w locie drugiego rzędu, a to niewielkie urządzenie automatycznie podjęło operację równoważenia sił napędu, które bez niego działałyby nierównomiernie na każdy element jego ciała. W celu dalszego sprawdzenia poszukał w kieszeni i wyciągnął dwie monety, jedną miedzianą, a drugą srebrną. Przytrzymał je złożone razem, w pewnej odległości od swego ciała, puścił je ostrożnie, aby nie nadać im żadnej prędkości własnej, i cofnął rękę. Poza polem equalizera, zaczęły powoli dryfować w kierunku równoległym do korytarza, miedziana moneta poruszała się z ledwo wyczuwalną prędkością, srebrna szybko jej nabierała. Korytarz biegł zatem równolegle do linii lotu statku; a monety przesuwały się do przodu w różnym tempie, ponieważ srebro było bardziej podatne na działanie pola napędowego.

Little odepchnął się od sufitu i odzyskał monety, wrzucając je z powrotem do swej, poza tym, pustej kieszeni. Nie miał przy sobie żadnych przyrządów ani broni i nie miał także możliwości stwierdzenia, czy został przeszukany, kiedy był nieprzytomny. Niczego nie brakowało, ale nie posiadał niczego, co warto by było zabrać. Fakt, że zamknięto go na klucz, mógł wskazywać, że jest więźniem, a więźniowie zazwyczaj pozbawiani są wszelkich przedmiotów, które mogłyby okazać się pomocne w ucieczce. Logicznie rzecz biorąc, jednak tylko od istot mających już wcześniejsze

kontakty z ludzkością, można było oczekiwać, że będą wiedziały, które z rozlicznych gadżetów noszonych przez przeciętnego człowieka należy uznać za broń; ale konstrukcja tego statku nie przypominała statków ras, znanych Littlemu. Wciąż miał na ręku zegarek oraz swój ołówek automatyczny, tak więc doktor nie był w stanie niczego powiedzieć nawet o naturze swoich porywaczy, a tym bardziej o ich zamiarach.

Być może dowie się czegoś, kiedy – i jeżeli – zostanie nakarmiony. Nagle zdał sobie sprawę, że był zarówno głodny, jak i spragniony. Był tak długo nieprzytomny, że stanął mu zegarek.

Kiedy unosił się koło włazu jego tętno opadło prawie do normalnego, jak zauważył. Znowu zaczął się zastanawiać, co go tak powaliło, nie pozostawiając żadnego śladu oraz tak, że niczego nie poczuł; potem zrezygnował z tej wątku swoich spekulacji na rzecz bardziej bezpośredniego, wspieranego mocno przez pusty żołądek. Zanim jednak znalazł jakieś rozwiązanie, ponownie zasnął. Śniło mu się, że ktoś przeniósł Rigela na drugą stronę Galaktyki, i nawigator nie mógł znaleźć drogi do domu. Co za głupoty, pomyślał, i dalej o tym śnił.

Za drugim razem obudził go dźwięk przypominający gong, tak przenikliwy, że w głowie dzwoniło mu jak echem. Natychmiast czujnie się rozjarzał i od razu zauważył zieloną, półprzezroczystą kulę zawieszoną kilka stóp dalej. Przez chwilę myślał, że może to być jeden z jego porywaczy; potem jednak nos wyjaśnił mu, że jest inaczej. Był to zwykły sok cytrynowy, przewożony przez praktycznie każdy ziemski krążownik. Chwila poszukiwań pozwoliła mu zlokalizować obok włazu cienką dyszę, przez którą płyn został wtłoczony do celi. Lekarz nie miał słomki do picia, ale już dawno temu opanował sztukę posługiwania się w takich okolicznościach językiem, tak by żadna inna część twarzy nie dotknęła płynu. To był standardowy żart; przed tym samym problemem stawiano rekrutów, podczas ich pierwszego lotu w nieważkości. Jeśli nos lub policzek dotkną kuli, napięcie powierzchniowe załatwi już resztę.

Little wrócił do włazu i zajął, jak zamierzał, stałe tam stanowisko. Czekał po trosze na jakieś oznaki obecności ludzi, po trosze na dowody istnienia porywaczy, a wraz z upływem czasu, na choćby odrobinę stałego pożywienia.

Na wszystkie te trzy rzeczy czekał na próżno. Od czasu do czasu przez rurkę wypływało jakieś pół litra soku z cytryny i formowało w powietrzu kulę; nic więcej. Little zawsze lubił tego rodzaju rzeczy, ale jego opinia powoli się zmieniała, w miarę jak wmuszane w niego były coraz większe ilości soku. Była to jedyna rzecz do picia, a powietrze wydawało się tu dosyć suche; w każdym razie czuł strasznie pragnienie w, jak się zdawało, niezwykle krótkich odstępach czasu.

Nakręcił zegarek i stwierdził, że „karmienia" następowały w odstępach nieco ponad czterech godzin. Miał wiele okazji do ich obserwacji i nic innego do obserwowania; nie minęło więc dużo czasu, a był w stanie przewidzieć pojawienie się za kilka sekund kolejnego drinka. Później

żałował, że nie rozgryzł tego do końca; ostatnie pięć lub dziesięć minut każdego okresu oczekiwania, charakteryzowało się niemal bolesnym pragnieniem, wcale niemniej dotkliwym z tego powodu, że miało one charakter czysto mentalny. Czasami spał, ale w chwili „zero" zawsze był obudzony.

Ponieważ nie miał niczego czym mógłby zająć myśli, poza bezowocnymi spekulacjami, nic więc dziwnego, że stracił rachubę liczby pór karmienia. Wiedział tylko, że spał już wiele razy, miał dość soku z limonki i zaczynał cierpieć z powodu braku jakiegokolwiek innego jedzenia, kiedy dało się wyczuć słabe poczucie wagi. Spojrzał na swój equalizer, gdy tylko zauważył tę sytuację, i stwierdził, że ekran jest ciemny. Statek wyłączył konwertery drugiego rzędu i zastosował bardzo niewielkie przyspieszenie pierwszego rzędu, zgodnie ze swoją pierwotną linią lotu – ledwie wyczuwalny ciężar skierowany był w stronę, gdzie jak uważał Little znajdowała się rufa. Jego kierunek kilkukrotnie zmieniał się o parę stopni, ale za każdym razem po kilku sekundach wracano do pierwotnego. Siła przyciągania utrzymywała się na stałym poziomie, o ile Little był w stanie to powiedzieć, przez kilka godzin.

Następnie ciążenie wzrosło, płynnie, ale szybko, do wartości nieznacznie poniżej siły grawitacji ziemskiej. Zmiany kierunku stały się częstsze, ale nigdy nie były na tyle gwałtowne ani nagłe, by zwalić Littlego z nóg – teraz stał na tylnej ścianie, która stała się podłogą. Najwyraźniej pilot statku, organiczny lub mechaniczny, znał swój fach. Przez prawie pół godziny zgodnie ze wskazaniami zegarka, warunki te nie zmieniły się; potem napęd spokojnie zmienił kierunek, łukiem o kącie dziewięćdziesięciu stopni; ściana na której znajdował się właz ponownie przejęła funkcję sufitu, i przez kilka minut dało się wyczuć słabiutkie drżenia przebiegające przez ogromny kadłub, po których kierunek siły grawitacji przyjął stały charakter. Jeśli wskazywałoby to na lądowanie, Little w myślach zdjął czapkę z głowy, przed istotą siedzącą przy sterach.

Doktor stwierdził, że ma kiepskie miejsce do obserwacji. Właz znajdował się około cztery stopy powyżej najwyższego punktu, do którego mógł dosięgnąć, i nawet podskakując z całej siły, nie był w stanie złapać się za pręty. Szacował, że miał obecnie prawie pełną swoją normalną wagę stu dziewięćdziesięciu funtów, a brak odpowiedniego pożywienia przez ostatnie kilka dni znacznie nadwątlił jego siły fizyczne. Mocno go to dręczyło, ponieważ nagle, po raz pierwszy odkąd odzyskał przytomność w tym dziwnym miejscu, usłyszał dźwięki z zewnątrz. Były zniekształcone przez echa, rozbrzmiewały i odbijały się od ścian po całym ciągnącym się na zewnątrz korytarzu oraz najwyraźniej dobiegały ze znacznej odległości, ale zdecydowanie i bez wątpienia były to ludzkie głosy.

Doktor czekał przez wiele minut. Głosy nie zbliżały się, ale z drugiej strony także nie oddalały. Zawołał, lecz najwyraźniej grupa była za duża i sama robiła zbyt wiele hałasu, aby go usłyszeć. Gwar rozmów utrzymywał się. Żadnych słów nie dało się wyróżnić, ale dominował w nich ton podniecenia, którego nawet metaliczne echa wielkiego kadłuba nie były w stanie skryć. Little słuchał i nie odrywał wzroku od włazu.

Nie słyszał aby ktokolwiek do niego podszedł, ale nagle rozległo się ciche kliknięcie, i zamek się otworzył. Krata odchyliła się gwałtownie do wewnątrz, aż ustawiła się prostopadle do ściany, w której była zamocowana; następnie boczne pręty ramy zaczęły wysuwać się teleskopowo w dół, aż a końcu stuknęły o podłogę. Pręty poprzeczne rozsunęły się wszystkie jednocześnie, zachowując równe odległości od siebie, i w chwilę po otwarciu włazu, od jego otworu do podłogi pomieszczenia, rozciągała się metalowa drabina. Po dokładniejszym przyjrzeniu się, zobaczył pod każdym szczeblem teleskopowe złącza. Te metalowe rurki muszą być cienkie jak papier, pomyślał Little, aby nożna było stworzyć taką konstrukcję.

Doktor bez wahania postawił stopę na drabinie. Prawdopodobnie na górze byli jego porywacze i chcieli, aby opuścił pomieszczenie, w którym był uwięziony. Z tym życzeniem godził się z całego serca; zresztą był za bardzo głodny, aby sprzeciwić się czemukolwiek z jakimś większym przekonaniem. Wspiął się po drabinie na korytarz, przeciskając ramiona przez wąski otwór włazu. Ludzkie głosy nadal były słyszalne, ale zniknęły gdzieś w głębi jego uwagi, gdy przyglądał się skupionym wokół włazu istotom.

Było ich pięć. Nosiły w sobie pewne podobieństwo do niehumanoidów z pierwszej planety Tau Ceti, ewidentnie ewoluując z symetrycznej promieniowo formy, przypominającej rozgwiazdę, do nieco bardziej wyspecjalizowanego typu, ze zróżnicowanymi wyrostkami lokomocyjnymi i chwytnymi. Miały pięć kończyn i nie posiadały głowy, ich rozpiętość wynosiła około osiem stóp. Ich tułowia były prawie kuliste; i gdyby ramiona u podstawy były nieco tylko grubsze, trudno byłoby określić, gdzie kończył się tułów, a zaczynało ramię. Rurkowate nóżki ambulakralne, występujące na odnóżach ziemskich rozgwiazd, u nich reprezentowane były przez skupisko wypustek o grubości ołówka, w pobliżu zakończenia każdego ramienia i nogi – różnica między tymi ostatnimi z wyglądu polegała na tym, że trzy nogi były nieco grubsze i bardziej stępione na końcach, niż dwie kończyny, które służyły jako ręce. Wypustki na „nogach" były również krótsze i grubsze. Ciała i członki, prawie po same końce, pokryte były lasem kolców o długości kilku cali, leżących w większości niemal płasko na skórze. Na znacznej części ciała rosły one zupełnie naturalnie, ale od centralnie umieszczonej jamy gębowej i pięciu oczu o podwójnych źrenicach, umieszczonych pomiędzy stawami kończyn, były starannie odczesywane.

Istoty nosiły wplecione w kolce na nogach pasy z metalowej siatki, z przypiętymi do nich futerałami, prawdopodobnie na narzędzia i broń. Ich „ręce" były puste; najwyraźniej nie obawiały się próby ucieczki lub ataku ze strony lekarza. Nie wydawały żadnych dźwięków, prócz suchego szelestu kolczastej zbroi, przy poruszaniu się. W milczeniu zbliżyły się do Little'a, podczas gdy jeden machnął elastycznymi rękoma w kierunku końca korytarza. Gdy lekarz ustawił się twarzą we wskazanym kierunku,

delikatne pchnięcie od tyłu, przekazało niezbędną resztę polecenia i grupa ruszyła w kierunku dziobu. Dwa z milczących stworzeń kroczyły z przodu, dwa zajęły miejsca z tyłu; a przy pierwszej sposobności reszta wspięła się szybko po jednej z promieniowych drabinek i dalszą drogę kontynuowała tuż nad głową Little'a, z kołysaniem przechodząc z uchwytu na uchwyt po środkowym słupie.

W miarę pokonywanej drogi, dobiegające z przodu głosy stawały się coraz głośniejsze. Od czasu do czasu można było już rozróżnić słowa. Rozmawiający byli jednak znacznie dalej niż sugerowała siła ich głosów, ponieważ metalowy korytarz przenosił dźwięki dobrze, jeśli nie w zupełności wiernie. Prawie trzysta jardów od celi Little'a korytarz którym szli przerwany był przez pionowy szyb o tych samych wymiarach. Głosy dochodziły z dołu. Bez wahania, jego eskorta przeskoczyła nad krawędzią szybu i ruszyła w dół, drabiną która zajmowała całą jego szerokość; Little udał się za nimi. Po drodze nabrał pewnego pojęcia o wielkości statku, na którym przebywał. Uniósłszy wzrok dostrzegł ujście dwóch innych korytarzy dochodzących do szybu ponad tym, który on przemierzył; na poziomie drugiego dołączał do nich kolejny korytarz z boku. Najwyraźniej nie znajdował się w pobliżu środkowej linii statku; w górze były co najmniej dwa, a może trzy, poziomy korytarzy podłużnych. Z tego co widział na jednym z tych korytarzy; statek musiał mieć ponad tysiąc pięćset stóp długości. Cztery statki wielkości *Gomeisy* mogłyby korzystać z tego ogromnego kadłuba jako hangaru i pozostałoby jeszcze wiele miejsca, na łokcie dla zespołów obsługi.

W dole, szyb wchodził w komorę, której ścian z pozycji Little'a nie było widać. Jednak jego oczy, które bardzo już były zmęczone niekończącym się pomarańczowym blaskiem stanowiącym jedyne oświetlenie statku, ucieszył widok niewątpliwego światła dziennego wydobywającego się z pomieszczenia. Gdy schodził coraz niżej, dwie ze ścian stały się widoczne – szyb wchodził do komory w pobliżu narożnika – a w jednej z nich wreszcie zobaczył śluzę powietrzną z otwartymi oboma włazami. Pospiesznie pokonał pozostałe kilka stóp w dół i stanąwszy na podłodze, zatrzymał się. W jednej chwili jego spojrzenie omiotło komorę o powierzchni dwudziestu jardów kwadratowych, która zdawała się zajmować niewielki występ kadłuba, i zatrzymało się w narożniku przeciwległym w stosunku do śluzy. W tym narożniku, znajdowało się trzydziestu ośmiu ludzi, pilnowanych przez szereg rozgwiazd; a Little nie potrzebował drugiego spojrzenia, żeby rozpoznać załogę *Gomeisy*. Oni rozpoznali go w tej samej chwili; paplanina ucichła, zastąpiona chwilową ciszą, a następnie wrzaskiem „Doc!", z niemal dwudziestu gardeł. Little przypatrywał im się przez moment, a potem ruszył do przodu i przedostał się przez linię strażników, która się przed nim otworzyła. Chwilę później przechodził już przez proces ściskania dłoni i klepania po plecach, wprawiający go w spore zdziwienie. Nie sądził, że jest aż tak popularny.

Młody kapitan Albee jako pierwszy przemówił w spójny sposób.

— Miło pana znowu widzieć, panie doktorze. Wszyscy z wyjątkiem pana odliczyli się i już zaczęliśmy myśleć, że pewnie wsadzili pana w jakiś formaldehyd, żeby zachować na przyszłość. Gdzie pan był?

— Chce pan powiedzieć, że mnie jako jedynego spotkał zaszczyt samotnego zamknięcia? — spytał Little. — Obudziłem się w celi na górze, jakieś dwie trzecie drogi wcześniej, z mniejszą liczbą towarzyszy niż Jonasz. Z drzwi mojego salonu widziałem parę zestawów słupków, ale niczego poza tym. Przez cały ten czas nie widziałem ani nie słyszałem żadnego żywego stworzenia poza mną samym. Nie pamiętam nawet, żebym wychodził z *Gomeisy* albo został z niego zabrany. Czy ktoś wie, co się stało?

— Jakim cudem pan tego nie wie? — spytał Albee. — Zostaliśmy zaatakowani; mieliśmy coś w rodzaju bitwy. Przespał pan ją? To nie wydaje się możliwe.

— A jednak, najwyraźniej tak było. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

— Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Już właśnie miałem schodzić z wachty, kiedy detektory wykryły odłamek skalny, który wydawał się wysoce magnetyczny i miał masę nieco ponad osiemdziesięciu milionów ton. Zbliżyliśmy się do niego i stanęliśmy obok, podczas gdy Tine zrobił kilka zdjęć Galaktyki i Obłoku, abyśmy mogli go ponownie odnaleźć. Wysłałem czterech ludzi, do pobrania próbek, i gdy tylko otworzyły się zewnętrzne wrota, te stwory — wskazał głową w stronę milczących strażników — zamroziły je w tej pozycji, lejąc strumieniem wody na zawiasy i framugę. Byli za blisko, aby użyć ciężkich miotaczy, a my nadal nie mieliśmy pojęcia, że w tych meteorach znajduje się statek. Byli w skafandrach kosmicznych i dostali się do śluzy, zanim cokolwiek zdążyliśmy zrobić. Do czasu kiedy założyliśmy nasze skafandry, przepalili wewnętrzne wrota śluzy i rozleźli się po całym statku. Próba walki wręcz skończyła się wręcz kompromitująco; myślałem, że znam wszystkie futbolowe sztuczki i nauczyłem chłopców większości z nich, ale załatwili nas wszystkich, zanim zdążyliśmy choćby ruszyć palcem. Nigdy w życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

— Nie rozumiem tylko, co pana tak powaliło. Oni nie użyli broni – to mnie wkurzyło – a jeśli nie miał pan na sobie skafandra, to nie wiem jakim cudem mógł pan przeżyć, kiedy otworzyli pańskie pomieszczenie. Powietrze uleciało zanim zaczęli rozchodzić się po statku.

— Wydaje mi się, że ja to rozumiem — powiedział powoli Little. — Żeletan. Cztery cylindry. Czy ogłosił pan ogólny komunikat o lądowaniu, kiedy wyłączył pan silniki drugiego rzędu, żeby zbadać tę lipną bonanzę? Oczywiście nie, ponieważ nie znajdowaliśmy się w żadnym polu grawitacyjnym o choćby minimalnej sile. A „meteor" był magnetyczny, co nie miało znaczenia dla naszego berylowego kadłuba, ale miało wielkie dla stalowych cylindrów z żeletanem, z których jeden odpiąłem właśnie, aby wykonać próbę ciśnieniową, i zostawiłem w testerze. Zajmowałem się obsługą testów, kiedy pole wyszarpnęło cylinder z testera i rzuciło nim o ścianę. Nie wywołało to na tyle dużego hałasu, aby zwrócić moją uwagę, ponieważ byłem w sąsiednim pomieszczeniu, za otwartymi drzwiami. I zawór trzasnął, odrobinę – wystarczyło. Nie potrzebowałem kombinezonu,

kiedy te rozgwiazdy otworzyły moje pomieszczenie, musiałem być sztywny jak kołek. Kiedy się obudziłem, miałem wszystkie objawy powrotu, po zawieszeniu czynności życiowych, ale w ogóle nie pomyślałem żeby je w ten sposób zinterpretować. Na następnym statku, na którym będę, niech mnie diabli, jeśli nie zmuszę ich do ustawienia automatycznego alarmu, który będzie mi mówił, co się dzieje z polami napędowymi drugiego rzędu…

— Będzie mógł pan także umieścić swoje cylindry z żeletanem z powrotem w mocowaniach, jeśli ten szczęśliwy stan rzeczy kiedykolwiek nastąpi — zauważył Goldthwaite, ponury sierżant techniczny. — Czy mogę spytać, co teraz będzie, panie kapitanie?

— Obawiam się, że to nie ode mnie zależy, Goldy — odpowiedział Albee. — Ale nie wydaje mi się, żeby planowali trzymać nas w tym kącie przez wieczność.

Prawdopodobnie nie planowali, ale Albee sam już zaczął wątpić we własne słowa, zanim cokolwiek się wydarzyło. Słońce wzniosło się na niebie na tyle wysoko, że nie świeciło już bezpośrednio do włazu, i wielka komora robiła się coraz ciemniejsza, w miarę jak cień ogromnego międzygwiezdnego statku oddalał od jego zewnętrznej burty. Wtedy przez śluzę powietrzną przybyła z zewnątrz nowa grupa obcych stworzeń. Dwa z pentapodów weszły pierwsze i zatrzymały się po obu stronach wewnętrznych wrót śluzy; po nich z wysiłkiem wpełzło na pokład długie, wielonogie, obficie owłosione cielsko Weganina. Jego antenki położone były na grzbiecie, mieszając się z czarnymi i żółtymi paskami: małe, mocno osłonięte powiekami oczy, otworzyły się szeroko, próbując coś dostrzec w, jak dla przybysza z jasnej, niebieskiej gwiazdy, niemal całkowitej ciemności. Linia strażników pilnujących Ziemian złamała się i przeformowała w dwuszereg między ludźmi a Weganinem.

Albee wystąpił do przodu, a jednocześnie w komorze zapaliły się światła. Weganin rozluźnił się na chwilę, czekając aż oczy ponownie mu się dostosują; potem jego anteny wyprostowały się i zaczęły powoli kołysać się w prostych wzorcach języka migowego jego rasy.

— Zakładam, że przynajmniej niektórzy z was mnie rozumieją — powiedział. — Nasi porywacze, którzy nauczyli się trochę mojego języka, w miesiącach, które tutaj spędziłem, mają nadzieję oszczędzić sobie kłopotów, wykorzystując mnie jako tłumacza. Będziecie chcieli potwierdzić znajomość mojej mowy, czy uważacie, że lepiej będzie zachowywać się tak, jak gdyby nasze rasy nigdy wcześniej się nie spotkały? Nie zostałem schwytany w pobliżu mojej ojczystej planety, więc możecie wykonać tego rodzaju unik.

Większość Ziemian posiadała pewną wiedzę na temat mowy Wegan – oba układy były bliskimi sąsiadami i cieszyły się ożywionymi stosunkami handlowymi – i wszyscy oczekiwali na decyzję Albee. Nie tracił zbyt wiele czasu na namysły; było oczywiste, że lepiej będzie nawiązać komunikację z porywaczami niż tego nie robić.

— Lepiej będzie jeśli porozmawiamy — odpowiedział, wykonując znaki rękoma, najlepiej jak tylko mógł. — Chcielibyśmy dowiedzieć się wszystkiego, co tylko jesteś w stanie nam powiedzieć o tych stworzeniach, a mało prawdopodobne, żebyśmy mieli szansę porozmawiać z tobą potajemnie. Czy wiesz, gdzie jesteśmy i czy możesz nam coś powiedzieć o tej planecie i zamieszkujących ją ludziach?

— Wiem bardzo niewiele — brzmiała odpowiedź. — Sądzę, że ta planeta jest gdzieś w Obłoku, ponieważ jedyny raz, gdy jeden z nas był w nocy poza fortem, widział na niebie Galaktykę. Ani ja, ani moi towarzysze nie możemy wam nic powiedzieć o cechach charakterystycznych planety, ponieważ jesteśmy trzymani w bazie, którą te stworzenia utrzymują tutaj, od czasu kiedy nas schwytali. Przy tej grawitacji, poruszamy się za wolno aby przed nimi uciec, a zresztą tutejsze słońce nie emituje wystarczającej ilości promieniowania ultrafioletowego, do utrzymania nas przy życiu. Jesteśmy pewni, że nasi pogromcy nie pochodzą z tej planety, rzadko zapuszczają się poza mury i zawsze wracają przed zapadnięciem nocy. Ponadto żywią się zapasami dostarczanymi przez statki międzygwiezdne, a nie miejscową żywnością.

— Nie podali nam powodów naszego pojmania. Pozwalają nam robić wszystko, co jest potrzebne do podtrzymania naszej egzystencji, a nawet zapewnienia sobie pewnych wygód, ale za każdym razem, gdy próbujemy przekierować nasze zasoby na produkcję broni, zdają się o tym wiedzieć. Pozwalają nam prawie skończyć, a potem ją nam zabierają. Nigdy też nasze próby ich nie denerwują. Nie rozumiemy ich.

— Jeśli tak bardzo dbają o wasze dobre samopoczucie, to dlaczego nas próbują doprowadzić do szaleństwa, tą stałą dietą soku z cytryny? — przerwał Little.

— Nie potrafię tego powiedzieć, ale zapytam, jeśli chcesz — odparł Weganin.

Obrócił mozolnie swoje wrzecionowate ciało, dopóki nie stanął twarzą w twarz z jednym ze stworzeń, które towarzyszyły mu na statku, i zaczął przekazywać gestami pytanie. Ludzie obserwowali to w milczeniu; tym, którzy nie rozumieli poprzedniej rozmowy, jej sedno zostało krótko wyjaśnione szeptem przez towarzyszy. Little nie miał okazji zapytać, czy oni też byli karmieni w taki sposób jak on; ich milczące, lecz żywe zainteresowanie odpowiedzią na zadane przez niego pytanie wskazywało, że tak. Chroniczna powolność wegańskiej komunikacji sprawiała, że z tym większą niecierpliwością czekali na poznanie odpowiedzi, gdy czarno-żółte stworzenie pieczołowicie wymachiwało do nieruchomego pentapoda.

Nastąpiła krótka przerwa, zanim tamten zaczął odpowiadać. Kiedy to się stało, Ziemianin zrozumiał, dlaczego potrzebny jest tłumacz, pomimo że obie strony znały ten sam język. Ramiona stworzenia były wystarczająco elastyczne przy ruchach do przodu i do tyłu, podobnie jak ludzkie palce; ale ich stosunkowo znaczna szerokość, sprawiała pentapodom problem przy wymachach na boki i poważnie utrudniała korzystanie z języka wegańskiego. Sam Weganin musiał mieć trudności ze zrozumieniem ich; Ziemianin nie potrafił pojąć ani jednego gestu.

W końcu tłumacz zwrócił się do ludzkich słuchaczy i poinformował ich o wyniku rozmowy:

— Zielony płyn to wszystko, co nasi pogromcy znaleźli w zasobnikach waszych pancerzy kosmicznych. Ponieważ na statku były jego duże zapasy, założyli, że jest to główny składnik waszej diety. Jednak uratowali praktycznie całą zawartość waszego statku, i wkrótce otrzymacie pozwolenie na zabranie artykułów spożywczych, sprzętu kuchennego i rzeczy osobistych, naturalnie za wyjątkiem broni. Mogę dodać, z własnego doświadczenia, że ich brak znajomości waszego uzbrojenia nie pomoże wam zbyt wiele, jeśli spróbujecie przemycić coś ze składów. Nam się to nigdy nie udało.

— Zaskakuje mnie — zauważył po angielsku Albee — fakt, że w ogóle pozwolą nam na zabranie zapasów. Te stworzenia muszą być bardzo pewne swoich możliwości, żeby tak ryzykować.

— Z tego, co mówił mi pan o walce wręcz, taka pewność siebie może być uzasadniona — zauważył Little z szerokim uśmiechem. — Czy nie wspomniał pan, że wytarli chłopcami podłogę?

— To prawda — przyznał kapitan — ale lepiej nie rozdrapywać otwartej rany. W każdym razie, dlaczego tak bardzo się tym przejmują?

— Przejmują? Odniosłem przemożne wrażenie, że jako rasa muszą być niezwykle skromni. — Albee wpatrywał się w lekarza, ale nie zdołał skłonić go do szerszego wyjaśnienia tej kwestii. Weganin przerwał dalszą rozmowę, przyciągając ich uwagę wymachiwaniem długimi antenami.

— Przekazano mi właśnie, że wasze zapasy zostały rozładowane przez inny właz i leżą na ziemi poza fortem. Macie towarzyszyć mnie i strażnikom w drodze do tego składu i zabrać całe jedzenie, jakie sobie życzycie – możecie odbyć kilka podróży, jeśli to konieczne, zabierzecie to wszystko do waszej kwatery w forcie.

— Jak położony jest ten fort w stosunku do statku? — zapytał Albee. — Jakiego rodzaju tereny nas otaczają?

— Statek leży równolegle do najbliższej ściany fortu, około dwieście jardów od niej. Ta śluza powietrzna znajduje się w pobliżu dziobu statku i prawie naprzeciwko głównych wrót fortu. Przed statkiem teren rozciąga się poziomo przez około ćwierć mili, a następnie opada w coś, co wydaje się być gęsto porośniętą lasem doliną rzeczną. Nie wiem, co znajduje się dalej z tej strony; tutejsze światło słoneczne jest zbyt słabe, abyśmy mogli dostrzec szczegóły obiektów oddalonych o więcej niż milę lub dwie. Zdaje się, że są tam jakieś wzgórza lub góry – będziecie mogli sami zobaczyć, kiedy wyjdziecie na zewnątrz. Wasze oczy są lepiej przystosowane do tego światła.

— W przeciwnym kierunku, w stronę rufy, równina rozciąga się tak daleko jak okiem sięgnąć, bez żadnej osłony. W każdym razie, gdyby ktoś wyruszył tą drogą, przez pierwsze pięćset jardów byłby między statkiem a fortem i łatwo można by go było złapać. Ostrzegam was ponownie, że te stworzenia was przechytrzą, ale – życzę szczęścia. Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

— Myślę, że możemy pójść i zabrać nasze rzeczy — powiedział Albee do swojej załogi. — Nie róbcie nic pochopnego bez rozkazu. Poczekamy, aż się okaże jak ułożyła się sprawa zapasów. Może będziemy musieli zabrać ze sobą jakiś sprzęt, żeby zdobyć jedzenie.

Podczas całej konwersacji otaczały ich czarne ciała strażników, niemal posągowe w swym bezruchu. Kiedy Weganin zakończył przemowę, od razu skierował się w stronę śluzy; słowa Albee padły już, kiedy ludzie zaczęli podążać za nim.

Powietrze na planecie było niewątpliwie podobne do powietrza na Ziemi, Vedze Piątej oraz ojczystej planecie pentapodów, ponieważ oba włazy śluzy powietrznej stały otworem. Miało zapach świeżości, którego zawsze brakuje w filtrowanej atmosferze statku kosmicznego, i ludzie schodząc po pochylni w ślad za ciężko poruszającym się Weganinem, niemal nieświadomie wyprostowali ramiona i wypięli piersi. Rozciągająca się przed nimi sceneria przyciągnęła wszystkie oczy; opis tłumacza był poprawny, ale nie do końca właściwy.

Wysoko nad ich głowami, wyginał się zarys kadłuba międzygwiezdnego krążownika. Komora śluzy zajmowała stosunkowo niewielką gondolę, która wystawała wystarczająco daleko ze swego miejsca po jednej stronie kilu, aby dotykać ziemi. Zewnętrzna powierzchnia statku błyszczała srebrzystym połyskiem, w przeciwieństwie do miedzianego blasku jego wnętrza. Znajdujący się bezpośrednio przed nimi fort, był imponującą kamienną budowlą, mającą pół mili długości i około dwustu stóp wysokości, od strony zwróconej ku nim. Ściany były gładko wypolerowane i całkowicie pozbawione okien.

Po lewej stronie, za dziobem statku, przez kilkaset jardów rozciągała się pozioma łąka, która następnie gwałtownie opadła w dół. Jak sugerował Weganin, horyzont w tle wypełniało nierówne pasmo gór, z których najbliższa położona była o kilka kilometrów od nich. Słońce stało już prawie nad głowami, okradając w ten sposób krajobraz z cieni, które dałyby Ziemianom lepsze poczucie odprężenia. Albee nie tracił czasu na szukanie czegoś, czego i tak nie mógł zobaczyć; ruszył w stronę wielkich wrót fortu. Przed jego bramami znajdowało się kilka dużych stosów różnych rzeczy, i nawet z tej odległości, niektóre z nich można było rozpoznać jako składniki wyposażenia niefortunnej *Gomeisy*. Strażnicy otoczyli grupę ludzi i ruszyli w tempie wyznaczanym przez kapitana, pozostawiając wegańskiego więźnia, aby szedł za nimi ze swoją własną prędkością.

Było oczywiste, że ziemski okręt wojenny został poddany gruntownej grabieży. Żywność, artykuły medyczne, prycze, sprzęt kuchenny, koce i różne elementy wyposażenia polowego, zgromadzone zostały na pół tuzinie stosów, ułożonych pod błyszczącymi czarnymi ścianami. Zmieszane z całą resztą leżały tutaj także rozmaite ręczne narzędzia oraz broń, i Albee pomimo ostrzeżeń Weganina, natychmiast zaczął snuć plany. Na jego rozkaz, każdy z ludzi wyciągnął z któregoś ze stosów plecak i zaczął

go napełniać pojemnikami z jedzeniem i piciem. Stos butelek z sokiem cytrynowym był uważnie ignorowany, dopóki Albee, spoglądając na niego, nie zauważył, że jeden kontener z butelkami ma inny kolor niż zielony. Podszedł bliżej, a potem wyjął z niego plastikowy pojemnik, otworzył go i powąchał zawartość. Gdy zwrócił się do obserwujących mężczyzn, jego ton był nieco głośniejszy niż zwykle:

— Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie oni to znaleźli?

Powędrował wzrokiem po twarzach członków załogi. W końcu z wahaniem odpowiedział sierżant Goldthwaite.

— Mogli zajrzeć między grodzie na końcu magazynu, panie kapitanie. Było tam całkiem fajnie i wyglądało to na dobre miejsce…

— Niełatwo odwiedzać je często podczas lotu — zauważył pytająco kapitan.

— Nie odwiedziłem go ani razu, panie kapitanie – może pan sprawdzić, że te pojemniki są nawet nietknięte. Ale mówił pan, że prawdopodobnie zawadzimy o Ardome, i pomyślałem sobie, że tam można będzie się tego pozbyć.

— Prawdopodobnie tak. Ale oni mają dobrych inspektorów celnych, a okręty wojenne też podlegają przeszukaniu. Drżę na myśl o tym, co stałoby się z naszą reputacją, gdybyśmy wpadli na Ardome. Proszę uważać się za odpowiedzialnego za ten towar.

Sierżant przełknął ślinę. Skrzynka z alkoholem ważyła osiemdziesiąt funtów i nie dało jej się wcisnąć w plecak. Uświadomił sobie ponuro, że kapitan wymierzył mu jedyną możliwą karę, w tych określonych okolicznościach. Włożył pięć butelek do plecaka i rozpoczął serię eksperymentów, aby zorientować się, w jaki sposób najlepiej objąć skrzynkę ramionami. Niewielka grupa pentapodów przyglądała się z zainteresowaniem jego zmaganiom, a ich kolce falowały powoli jak pole pszenicy na wietrze.

Albee także przez chwilę temu się przyglądał; a potem zaczął mówić dalej, przez cały czas nie zmieniając tonu głosu:

— Większość z was powinna już zebrać całkiem przyzwoite zapasy żywności. Na tej planecie woda jest prawdopodobnie dobra, ponieważ roślinność i chmury wydają się normalne. Powinniśmy być w stanie przeżyć tu, bez wsparcia naszych hojnych porywaczy, ale możemy mieć pewne trudności w uniknięciu ich oferowanej ze szczerego serca pomocy. Weganin powiedział, że jego ludzie nie byli w stanie oszukać tych poduszeczek na igły, tak by można było wyprodukować lub ukraść broń. Mając to na względzie, zachowajcie ostrożność przy wykonywaniu rozkazów, które za chwilę wam wydam.

— Kiedy skończę mówić, każdy z was policzy powoli do trzydziestu, i w tym czasie podejdzie do najbardziej poręcznego narzędzia lub broni, znajdujących się koło niego. Kiedy doliczycie do trzydziestu, złapcie za wybraną rzecz i starajcie się dotrzeć do lasu. Wszyscy, z wyjątkiem doktora, mieliście pewne doświadczenia z bezwzględną taktyką tych

stworzeń; powiedziałbym, że rozwiązanie problemu polega na ominięciu ich bez walki i ucieczce na otwartą przestrzeń. Myślę, że na równym terenie jesteśmy w stanie prześcignąć, każdego żyjącego bezkręgowca. Jeśli ktoś zostanie złapany, nie zatrzymujcie się, aby mu pomóc; w chwili obecnej, chciałbym wydostać stąd chociaż jakąś małą grupę, w miejsce gdzie będziemy mogli opracować plany ratunkowe dla pechowców. Tylko niech nie wszyscy próbują zabrać stąd broń, narzędzia do cięcia drewna będą dla nas w lesie równie przydatne. Możecie zacząć odliczać.

Bez pośpiechu Albee odhaczył sobie w myślach zawartość plecaka i zarzucił go na ramiona. Strażnicy obserwowali go, z powoli drgającymi kolcami. Reiser, starszy nawigator, pomagał jednemu z inżynierów Goldthwaite'a wyciągnąć kuchenkę elektryczną ze stosu, który również zawierał kilka pistoletów jonowych.

Little podniósł i sprawdził krótko ręczną latarkę, świadomy faktu, że strażnicy go obserwują. Jego działanie miało pewien cel; latarka była niemal dokładnie taka sama, jak pistolet. Zacisnął paski własnego plecaka – i ktoś doliczył do trzydziestu. Albee wybrał tę liczbę, aby dać ludziom wystarczająco dużo czasu na przygotowanie się, ale nie na tyle, aby powstały znaczne różnice w tempie odliczania.

Niemal jak jeden mąż, ludzie odwrócili się i pobiegli sprintem w stronę dziobu okrętu. I niemalże w tej samej chwili weszli do akcji strażnicy, każdy biorąc na cel jednego człowieka i zabierając się za niego. Little, który nie poznał wcześniej taktyki tych stworzeń, zdołał im się wymykać przez około pięć jardów; jeden z nich owinął swoje wypustki wokół jego kostki i dosłownie wskoczył mu na plecy. Chwilę później lekarz leżał już z twarzą w trawie, z rękoma i nogami unieruchomionymi w uścisku niezdarnie wyglądających, krótkich kończyn. Kolce jego pogromcy nie były na tyle sztywne, aby przebić mu odzież lub skórę, ale ich nacisk na kark był nieprzyjemny. Udało mu się na tyle wykręcić głowę aby widzieć, co się dzieje.

Czterech ludzi, którzy znajdowali się przy stosie położonym najbliżej lasu, poruszało się na tyle szybko, aby uniknąć kontaktu ze strażnikami. Teraz biegli ze wszystkich sił w stronę spadku terenu; żadne ze stworzeń ich nie ścigało. Albee i tuzin innych, praktycznie niemal się wyrwali, ale gdy Little patrzył, jeden z nich został powalony na ziemię. Któryś z ludzi znalazł się na stosunkowo wolnej przestrzeni i pomknął ze wszystkich sił. Strażnicy zbliżali się do niego z obu stron, ale najwyraźniej zdali sobie sprawę, że nie są wystarczająco szybcy, aby złapać uciekiniera. Zawrócili do innych ofiar, a szybkobiegaczowi pozwolono uciec.

Goldthwaite znajdował się w złej sytuacji mając przed sobą prawie całą gromadę strażników, przez którą musiał się przebić w drodze do lasu. Najwyraźniej nawet nie pomyślał o złamaniu rozkazów i ucieczce w inną stronę. Upuścił skrzynkę, którą próbował nieść, złapał z niej w każdą rękę butelkę i rzucił się w tumult walki. Co ciekawe, on jako jedyny użył broni; strażnicy, obwieszeni narzędziami przyczepionymi do pasów na nogach,

walczyli gołymi „rękoma”, a wszyscy ludzie ignorowali broń i noże, próbując uciec. Większość pentapodów na końcu gromady sierżanta była zaangażowana w akcję, i przeszedł przez prawie całą grupę, zanim został zmuszony do skorzystania ze swych pałek.

Zobaczył go wtedy jeden ze strażników i zbliżył się do niego. Goldthwaite miał pewien problem z powodu braku głowy stworzenia, ale i tak zamachnął się butelką. Cios wylądował między dwiema górnymi kończynami, tuż nad jednym z oczu. Nie zaszkodził on pentapodowi, którego elastyczne nogi zaabsorbowały większą część wstrząsu, a twardy plastik butelki także pozostał nienaruszony; ale korek – pod wpływem ciśnienia wewnętrznego i prawdopodobnie nie dość szczelnie zamknięty – mogła to być butelka zbadana przez kapitana – wystrzelił, oblewając rękaw i kurtkę sierżanta alkoholem. Płyn w środku miał niektóre cechy ziemskiego szampana i był mocno wstrząśnięty.

Kolejną jego właściwością był zapach. Ten, podobnie jak ze smakiem Roqueforta, wymagał pewnego okresu przyzwyczajenia, zanim można go było polubić; i to mógł być powód, dla którego strażnik cofnął się na chwilę, gdy spieniony płyn wytrysnął z butelki. Bardziej prawdopodobny był jednak fakt, że zaskoczyło go znalezienie przedmiotu, który jego rodacy uznali za nieszkodliwy, a który nagle wykazał wszelkie cechy broni wyrzutowej. Bez względu na powód, przed atakiem zawahał się na ułamek sekundy; i w ciągu tej chwili sierżant go ominął.

Przed nim zbiegało się do niego z różnych stron, trzech lub czterech innych strażników – wszyscy, którzy pozostali jeszcze niezaangażowani. Nie czekając na ich atak, Goldthwaite kilkakrotnie potrząsnął drugą butelką i cisnął nią w środek grupy. Był człowiekiem, który umiał szybko korzystać z doświadczenia. Niestety, tak samo strażnicy. Widzieli płyn, który wsiąkł w ubranie sierżanta, i nie potrzebowali dalszych wskazówek, że jest on nieszkodliwy. Nie zwracali uwagi na lecącą butelkę, dopóki nie wylądowała na ziemi.

Ta flaszka była szczelniej zamknięta i nie wystrzeliła. Pentapody, które albo widziały zachowanie pierwszej butelki, albo zostały o nim poinformowane, zdecydowały, że ten latający przedmiot jest jakąś inną bronią i ostrożnie zmieniły kierunek, unikając miejsca, w którym leżał, oraz sierżanta, który bez tego rodzaju wątpliwości minął butelkę, mknąc jak koń wyścigowy. Minęło kilka sekund, zanim strażnicy przezwyciężyli swoje obawy odnośnie do tej nowej formy bomby z opóźnionym zapłonem, i zanim zdołali ją obiec, Goldthwaite był już daleko poza ich zasięgiem, na płaskim terenie. Do tego czasu akcja się zakończyła.

Albee udało się wydostać, z kilkunastoma ludźmi. Jeden z nich uciekł dzięki współpracy Weganina, który sam nie będąc w stanie biegać, podłożył swoją antenę pod nogi, jedynemu strażnikowi znajdującemu się w miejscu umożliwiającym złapanie tego człowieka. Na polu walki pozostało leżących około dwudziestu pięciu ludzi, z których każdy trzymany był przez pentapoda. W ich kierunku szybko zbliżały się dwa

roje stworzeń, jeden od strony statku, a drugi z fortu. Utworzyły one pierścień wokół miejsca zdarzenia, i Little znów mógł wstać na nogi. Zrobił to, a pozostali ludzie zgromadzili się wokół niego.

Wyglądało na to, że wszystkie pistolety przepadły. Jeden z ludzi próbował użyć swojej broni, gdy został przechwycony, ale jego przeciwnik pozbawił go jej, zanim zdołał wyrządzić mu jakiekolwiek szkody. Najwyraźniej informacja rozeszła się natychmiast, ponieważ wszystkie pozostałe pistolety jonowe zostały skonfiskowane, chociaż bardzo podobne latarki pozostały nietknięte. Urazy ograniczały się do siniaków.

Little zaczynał mieć pewne pojęcie o przeciwnikach – prawdę mówiąc, zaczął je mieć już pewien czas temu, jak wskazywała jego tajemnicza uwaga skierowana do kapitana Albee. Każde ich działanie dawało wskazówki co do bardzo osobliwej motywacji i procesów myślowych, wskazówki, które powoli gromadziły się w umyśle Little’a. Nie przestawał ich analizować, kiedy ludzie, wciąż otoczeni pentapodami, pomaszerowali w kierunku fortu.

Wielka brama otworzyła się, wpuszczając ich do wystarczająco dużej komory, aby pomieścić całą grupę, nawet z rezerwą. Miała ona około piętnastu stóp wysokości, metalowe ściany i posiadała tylko dwoje drzwi – zewnętrzne wrota i kolejne, mniejsze, w przeciwległej ścianie, dające dostęp do wnętrza budowli. Tak jakby pomieszczenie było śluzą powietrzną, wewnętrzne wejście nie zostało otwarte, dopóki zewnętrzne się nie zamknęło. Dalej grupa przeszła do wspaniale oświetlonego korytarza, ciągnącego się przed nimi daleko do wnętrza fortu. W odstępach co kilka jardów odgałęziały się od niego boczne przejścia, niektóre były jasno oświetlone tak jak główny korytarz, inne pozostawały w niemal całkowitej ciemności. Pokonali tylko krótki odcinek, kiedy eskorta zatrzymała ludzi przed małymi drzwiami, w ścianie po lewej stronie.

Jeden ze strażników aktywował niewielki sterownik w murze obok drzwi, powodując, że te ostatnie się otworzyły. Niewielka komora za nimi, była najwyraźniej windą, do której wsiadło pięciu pentapodów, skinięciem zabierając do środka równą liczbę ludzi. Drzwi zasunęły się za nimi, a pozostali czekali na powrót windy. Zapadło kilka minut ciężkiej ciszy. Little zapytał Weganina, czy wie dokąd zostaną zabrani.

— Nasze kwatery znajdują się w nadbudówce na dachu — przekazało gestami stworzenie. — Mogą umieścić was tam lub gdzieś na samym dachu. Wy możecie żyć na otwartym terenie, pod tym światłem słonecznym; my potrzebujemy dodatkowego oświetlenia, zarówno w zakresie widzialnym jak i ultrafioletowym. Nic mi nie powiedzieli. Nie wiem nawet czy pozwolą nam się dalej komunikować – choć mam taką nadzieję. Moi towarzysze i ja już od dawna tęsknimy aby mieć kogoś do rozmowy, poza nami samymi.

— Podejrzewam, że będziemy mogli kontaktować się tyle razy, ile tylko będziemy chcieli – może nas nawet zakwaterują w sąsiednich pomieszczeniach — stwierdził Little z wahaniem.

Weganin przyglądał mu się przez chwilę.

— Ach, znalazłeś drogę do ich umysłów, Ziemianinie? — zapytał. — Gratuluję ci. My nie byliśmy w stanie zrozumieć ich motywacji ani działań, nawet w najmniejszym stopniu. Może oczywiście tak być, że oni myślą w sposób bardziej zbliżony do was niż do nas – lecz to wydaje się mało prawdopodobne, skoro wasze i nasze umysły są na tyle podobne, aby zgadzać się nawet w kwestiach filozoficznych.

— Wcale nie jestem pewien, czy przeniknąłem ich umysły — odparł Little. — Nadal obserwuję, ale to, co do tej pory widziałem, tylko wzmacnia pewne wrażenia, które odebrałem niemal na samym początku. Jeśli z moich pomysłów wyniknie coś konstruktywnego, przekażę to, ale na razie wolałbym poczekać, dopóki nie będę bardziej pewien swoich wniosków.

Powrót windy przerwał żmudną wymianę myśli. Minęło sporo czasu, lecz wegański język migowy jest znacznie powolniejszy niż rozmowa werbalna i obaj sojusznicy mieli czas na wymianę zaledwie kilku zdań. Obserwowali bez słowa, jak pięciu ludzi wraz ze swymi strażnikami wsiada do windy i odjeżdża. Podczas kolejnego okresu oczekiwania, niewiele było rozmów; większość z obecnych istot, była zbyt zajęta rozmyślaniem. Jeden czy dwu ludzi wymieniło przyciszone komentarze, ale większość zachowała swoje myśli dla siebie. Weganin, oczywiście, pozbawiony był głosu; a strażnicy stali cierpliwie, milczący jak zawsze, nieruchomi jak skały, z wyjątkiem powolnego, niemal nieustającego falowania czarnych, tępych kolców. Wyglądali, jakby nawet nie oddychali.

Milczenie trwało, gdy winda powróciła i wykonała jeszcze dwa kolejne kursy. Jedynym zakłóceniem martwej ciszy były sporadyczne, słabe, metaliczne odgłosy o nieokreślonym pochodzeniu, odbijające się echem i rozchodzące po korytarzach ogromnego mrowiska. Dla Little'a były one interesujące jako dowody, świadczące o aktywności w tym miejscu, a zatem o obecności bardzo znacznego garnizonu. Nic jednak nie potwierdzało tego przypuszczenia, chociaż w dobrze oświetlonym korytarzu widać było rzeczy znajdujące się nawet w znacznej odległości.

Winda powróciła po raz ostatni. Little, paru pozostałych ludzi i Weganin znaleźli się w środku, w towarzystwie tym razem tylko dwóch pentapodów, i ruszyli w podróż do góry. Kabina windy wciągana była przez wyjątkowo cichy – lub bardzo odległy – silnik; nieprzerwana cisza panująca w tym miejscu rzeczywiście zaczynała działać na ludzkie nerwy. Winda jechała bardzo płynnie; w czasie pięciu czy sześciu minut podróży, nie czuło się jej ruchu. Little zastanawiał się, czy stworzenia miały jakiś ukryty motyw po temu, czy też po prostu oszczędzały energię – skoro fort miał tylko dwieście stóp wysokości, podróż windą z ziemi na dach powinna zająć sekundy, a nie minuty. Nigdy nie poznał odpowiedzi na to pytanie.

Drzwi windy otworzyły się, odsłaniając kolejny korytarz, węższy niż ten na dole. Po prawej stronie kończył się on dwadzieścia jardów dalej, dużym okrągłym oknem, wpuszczającym światło słoneczne. Little uznał, że muszą znajdować się powyżej poziomu zewnętrznej ściany, ponieważ w niej nie

było widać żadnych otworów. Ściana na tym poziomie musiała być na pewną odległość cofnięta, skoro okno było niewidoczne z ziemi, z miejsca w pobliżu budynku.

Grupę popędzono w przeciwnym kierunku, w stronę kilku otwierających się z korytarza drzwi. Przez część z nich przebijał się blask jeszcze jaśniejszy niż światło dzienne; spoza innych wydobył się jedynie szmer ludzkich głosów. Grupa zatrzymała się przy jednych z jasno oświetlonych drzwi, i Weganin zwrócił się do Little'a.

— To są nasze kwatery — zasygnalizowało stworzenie. — Pozwolili nam zorganizować wszystko, co było nam potrzebne dla wygody. Chciałbym zaprosić cię do środka, ale najpierw musisz znaleźć jakieś sposoby ochrony skóry przed promiennikami ultrafioletowymi, które zainstalowaliśmy. Również byłoby wskazane ciemne okulary, takie jakie Ziemianie zwykle noszą na Wega Pięć. Opowiem o was moim przyjaciołom; kiedy tylko będzie to możliwe, porozmawiamy ponownie. O ile mnie uszy nie mylą, twoi rodacy przebywają w tym samym korytarzu, abyśmy mogli się swobodnie spotykać – tak jak się domyśliłeś. Żegnaj. — Masywna postać odwróciła się i weszła przez oświetlone na niebiesko drzwi.

Narządy słuchowe stworzenia, nie myliły go; ludzka załoga została umieszczona w tuzinie słabiej oświetlonych pokoi w tym korytarzu. Magill, który jako kwatermistrz był najstarszym obecnym oficerem, przejął dowodzenie i już zaczął organizować grupę, gdy pojawił się Little i jego towarzysze. Jedno pomieszczenie zostało wydzielone jako magazyn i kuchnia, i zapasy żywności już się w nim znalazły. Kiedy kwatermistrz zauważył Little'a, nie tracił czasu na pozdrowienia.

— Doc, przypominam sobie, że Weganin mówił, iż w razie potrzeby możemy odbyć kilka wypraw po zapasy. Chciałbym, żebyś wziął kilkunastu ludzi, spróbował załatwić, by te stworzenia zrozumiały, co nam jest potrzebne, i abyście przynieśli resztę żywności. Ponadto Denham potrzebuje pieca – obiecuje regularny posiłek w pół godziny po tym, jak go tutaj przyniesiecie. Czy możesz się tym zająć? — Little skinął głową; i oficer rozkazał kilkunastu ludziom, aby poszli z nim. Grupa powróciła do windy.

W tym końcu korytarza krążyło kilku pentapodów. Nie zgłaszali sprzeciwu, gdy lekarz zbadał sterownik koło drzwi windy i w końcu ją uruchomił; ale dwóch z nich weszło do kabiny razem z Littlem i połową jego grupy, aby zjechać z nimi na poziom ziemi. Gdy ruszali na dół, Little uzyskał jeszcze jeden strzępek informacji: elementy sterujące windą przypominały te w ziemskiej windzie automatycznej, był to po prostu rząd przycisków. Wskazał na najniższy z nich i wykonał ruch, jakby chciał go wcisnąć, jednocześnie patrząc na jednego ze strażników. Stworzenie podeszło do niego i jedną ze swych wypustek dotknęło przycisku znajdującego się w mniej niż jednej trzeciej odległości od góry panelu. Little lekko się uśmiechnął. Najwyraźniej większa część fortu znajdowała

się pod ziemią, niż ponad nią, i musiała to być o wiele potężniejsza budowla, niż mu się wydawało. Miło było wiedzieć.

Zaczekali na dole, aż jeden z ludzi pojechał windą z powrotem, po pozostałych; potem, w towarzystwie kilku innych strażników, wyszli na zewnątrz. Nikt z ludzi nie był w stanie odkryć, w jaki sposób manipulowało się bramami do komory wejściowej; żadne z towarzyszących im stworzeń zdawało się nawet nie dotykać jakichkolwiek urządzeń sterujących. Stosy materiałów i wyposażenia ciągle leżały pod bramą; wyglądały na nietknięte. Wokół wielkiego statku tu i ówdzie kręciły się zespoły pentapodów. Widać było jak niektórzy z nich wspinają się po sieciach zawieszonych wysoko w górze, na kadłubie okrętu, najwyraźniej naprawiając go, czyszcząc lub kontrolując.

Długa linia stworzeń ciągnęła się bez przerwy w obie strony, między jednym z włazów statku a małą bramą w ścianie fortu, której ludzie wcześniej nie zauważyli. Nosili duże skrzynie, które mogły zawierać cokolwiek, oraz różne elementy maszyn. Little obserwował przez chwilę obce stworzenia, a potem skupił uwagę na potrzebnych im zapasach.

Ludzie wypełnili plecaki i wrócili do windy, do której załadowano żywność. Jeden człowiek zabrał ładunek na górę, a pozostali poszli z powrotem do stosów. Tym razem Little skupił się specjalnie na piecu, którego domagał się kucharz. Został on już wcześniej wydobyty ze stosu i czekał na transport. Najpierw jednak doktor dokładnie go sprawdził.

Był to niezwykle wszechstronny element wyposażenia. Zawierał mały, niezależny konwerter żelaza, ale był zaprojektowany tak, aby w razie potrzeby czerpać energię z dowolnego, normalnego, standardowego źródła. Ponieważ był to sprzęt marynarki wojennej, musiał być zdolny także do pracy bez zasilania elektrycznego, na wypadek gdyby okoliczności wymagały podjęcia środków zapobiegających wykryciu; łącze do rury tyłu, pozwalało na przymocowanie zbiornika wodoru lub butanu – była tam nawet obejma na zbiornik.

Little zauważył stojak z trzema butlami z gazem, stojący koło pobliskiego stosu rzeczy, i wpadł na pewien pomysł. Odłączył jeden ze zbiorników i zamocował go w obejmie pieca, która na szczęście pasowała. Czterech ludzi zabrało piec i zaniosło go do środka. Pozostałe zbiorniki zostały zdjęte ze stojaka i zaniesione za nim. Nie zawierały one, nie trzeba chyba mówić, ani wodoru, ani butanu. Little miał nadzieję, że żaden z pilnujących ich strażników nie był obecny podczas grabieży *Gomeisy* i nie wiedział, skąd pochodzą te zbiorniki. Próbował zachowywać się normalnie, montując cylinder na piecu i wydając rozkaz zabrania pozostałych.

Kiedy dotarli do drzwi, winda jeszcze nie wróciła. Ludzie odstawili przyniesiony ciężar. Ku zaskoczeniu Little'a, nie towarzyszył im żaden ze strażników – wywnioskowali oni z ciężaru i niezgrabnego charakteru niesionego przez ludzi urządzenia, że obserwowanie ich jest zbędne, dopóki maszyna nie zostanie zamontowana. A przynajmniej tak rozumował lekarz. Skorzystał z okazji, by powiedzieć ludziom, aby uważali

na niesione przez siebie cylindry. Nie zadawali pytań, chociaż każdy z nich całkiem nieźle rozumiał przyczyny tego rozkazu. Wiedzieli już, że konwerter atomowy pieca był sprawny, a zatem gaz do ogrzewania był niepotrzebny.

Kiedy winda wreszcie przybyła, Little rozkazał człowiekowi, który nią zjechał, aby pomógł pozostałym przynieść z zewnątrz resztę jedzenia. Wciąż było go sporo na stosach i równie dobrze można było je zabrać, chociaż w magazynie zgromadzono już duże ilości. Swoje rozkazy zakończył:

— Możecie spróbować przemycić, cokolwiek chcecie, ale bądźcie ostrożni. Oni już wiedzą jak wygląda broń jonowa i powiedziano nam, że są bardzo dobrzy w odgadywaniu naszych zamiarów. Nie wiemy oczywiście, jakich rzeczy nie chcą abyśmy posiadali, oprócz broni, więc bądźcie ostrożni biorąc cokolwiek, co mogłoby wywołać ich sprzeciw. Ja zawiozę ten piec na górę. — Zasunął drzwi i nacisnął górny przycisk.

Na górze czekała ta sama grupa strażników. Z zainteresowaniem obserwowali, jak kilku ludzi pomogło lekarzowi zanieść piec do pomieszczenia, które miało służyć jako kuchnia. Nie zostało w nim już zbyt wiele miejsca, bo zapasy żywności wypełniały każdy wolny kąt. Na ten widok lekko się uśmiechnął – wydawało się, że Magill spodziewa się długiego pobytu tutaj. Prawdopodobnie miał rację.

Denham, kucharz, uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy zobaczył piec. Opróżnił dla niego wąską przestrzeń i zaciekle nadzorował jego ustawianie. Spojrzał na przymocowany do niego zbiornik z gazem, ale zanim zdążył wyrazić jakieś zaskoczenie, odezwał się Little. Utrzymywał normalny ton głosu i mimikę twarzy, ponieważ kilku pentapodów przyszło za piecem do pomieszczenia.

— Zachowuj się, jakby zbiornik był zwykłą częścią pieca, Den — pouczył go, — ale korzystaj z konwertera żelaza. Zapewniam cię, że ten gaz niczego nie podgrzeje.

Denham zachował obojętną twarz i odparł:

— O.K., panie doktorze. Dobra robota.

Jakby nie działo się nic niezwykłego, zaczął wykopywać zapasy z okolicznych hałd, przygotowując obiecany obiad. Lekarz odszukał Magilla, który właśnie zakończył zadanie przydzielania ludzi do pomieszczeń.

— Czy dowiedziałeś się może, jak to miejsce jest wentylowane? — spytał Little, gdy tylko udało mu się zwrócić uwagę kwatermistrza.

— Cześć, doc. Żarcie w środku? Tak, znaleźliśmy wentylatory. Kratki sufitowe i podłogowe. Za małe, aby przez nie przeszły ludzkie ramiona, nawet gdybyśmy wyrwali pręty.

— Nie o to dokładnie mi chodziło. Wiesz może, czy ten sam system obsługuje resztę budynku? I czy te kratki nadal dmuchają, kiedy otworzymy okno w pomieszczeniu?

— Przynajmniej na to drugie pytanie, możemy od razu znaleźć odpowiedź. Chodź ze mną.

Razem weszli do jednego z pokoi, który został przydzielony na sypialnię dla trzech ludzi. Wszystkie izby po tej stronie korytarza miały przezroczyste iluminatory wychodzące na dach; po krótkiej gimnastyce Magill otworzył jeden z nich. Little, stojący pod sufitowym nawiewem, z zadowoleniem zauważył, że podmuch zamiera. Skinął powoli głową.

— Myślę, że powinniśmy przez cały czas trzymać okna otwarte — zauważył. — Oczywiście, nie robiąc tego zbyt ostentacyjnie. W nocy może być troszeczkę zimno, ale jesteśmy w stanie to wytrzymać. Nawiasem mówiąc, zapomniałem żeby kazać ludziom przynieść śpiwory; powiem im, następnym razem kiedy winda wjedzie na górę. Czy myślisz, że nasze wierne cienie — Little skinął głową w stronę dwóch pentapodów, stojących w drzwiach — sprzeciwiłyby się gdybyśmy chcieli wyjść na dach? Pozwolili nam otworzyć okno i moglibyśmy bez trudu wyjść przez nie. Musi być jednak jakieś bardziej regularne wyjście.

— Nie zaszkodzi spróbować — odparł Magill.

Ruszyli razem na korytarz, a dwaj obserwatorzy odsunęli się na boki, aby zrobić im przejście. Po chwili wahania ludzie skręcili w lewo, w przeciwną stronę od windy. Strażnicy ruszyli za nimi z tyłu. Pokój, w którym się znajdowali, był ostatnim z zajętych przez Ziemian i zanim doszli do końca korytarza minęli kilka oświetlonych drzwi. Okazało się, że ściana kończąca korytarz w tej części, ma podobny układ do tej na jego przeciwległym końcu, zawiera duży przezroczysty panel, przez który widoczna była szeroka płaszczyzna dachu.

Magill, który otworzył okno w pokoju, zaczął teraz badać brzegi panelu. Okazało się, że można go otworzyć, ale zamknięcie znajdowało się tak wysoko nad podłogą, że było prawie poza ich zasięgiem. Pentapody mogły bez większego trudu dosięgnąć rzeczy położonych na wysokości ośmiu stóp. Kwatermistrz, trochę macając palcami, w końcu zwolnił zaczep i pchnął panel, otwierając go.

Strażnicy nie protestowali, gdy mężczyźni wyszli na dach, po prostu podążali kilka jardów za nimi. Ten koniec holu wychodził na południowy wschód – przyjmując wschód, jako punkt wschodu słońca – na przeciwną stronę od statku. Z miejsca położonego kilka jardów za panelem widać było, że kwatery więzienne zajmowały stosunkowo niewielki, prostokątny występ w pobliżu północnego narożnika dachu, o powierzchni pół mili kwadratowej. Ludzie znów skręcili w lewo i poszli wzdłuż występu. Część załogi zobaczyła ich przez okna, które Magill kazał im pootwierać. Denham swoje otworzył już wcześniej i zapachy kuchenne zaczęły wylewać się na zewnątrz.

Po przejściu kilku jardów do pięciostopowej attyki na krawędzi dachu, ludzie znaleźli rząd schodków, które pozwoliły im wejść na tyle wysoko, aby wychylić się nad dwustopowej grubości ścianą. Stali twarzą w stronę lasu, do którego uciekli Albee i inni zbiegowie, którzy wyrwali się strażnikom. Z tej wysokości widzieli z góry krawędź spadku terenu i dostrzegli, że jest on porośnięty bardzo gęstymi zaroślami, co prawdopodobnie poważnie utrudniało poruszanie się. Nie dostrzegli żadnego śladu uciekinierów.

Dziób statku wystawał zza najbliższego rogu budowli. Little i Magill podeszli do wychodzącej na niego ściany i popatrzyli w dół. Rząd pentapodów wciąż transportował zapasy na ogromny statek, którego kadłub wznosił się znacznie powyżej poziomu obu obserwatorów. Skrywał on cały leżący za nim teren, na północnym zachodzie. Po kilku minutach przypatrywania się, oficerowie odwrócili się z powrotem do swych kwater. Znajdowali się teraz na końcu nadbudówki „od strony windy" i stali przed panelem, który nie został jeszcze otwarty. Widać było dwóch ludzi obserwujących ich od wewnątrz; Magill podszedł do panelu i wskazał na zaczep, który pozwalał go otworzyć. Z zewnątrz żadnego zamknięcia nie było widać.

— Wrócili ludzie z resztą żywności, panie kwatermistrzu — powiedział jeden, gdy tylko panel został otworzony — a Denham mówi, że obiad jest już prawie gotowy.

— Zaraz wracamy do środka — powiedział kwatermistrz. — Możecie przekazać ludziom, którzy są wolni, że jeśli mają ochotę, mogą wyjść na zewnątrz i trochę się rozejrzeć.

— Chciałbym jeszcze dowiedzieć się, gdzie na dachu jest wlot wentylatora — oznajmił Little, kiedy ruszyli dalej. — Gdzieś przecież musi być, a ściana, jak sami widzieliśmy, była idealnie gładka. Nie widać go nigdzie pośrodku dachu, musi więc skrywać się w cieniu attyki. Czy widzisz może jakieś wystające ponad nią nieregularności?

— Nie — odparł Magill po chwili uważnej obserwacji we wszystkich kierunkach. — Nie widzę. Ale jesteśmy o pół mili od dwóch z tych ścian, a łatwo coś takiego przeoczyć nawet ze znacznie mniejszej odległości. Jeśli jest gdzieś tutaj, któryś z ludzi wcześniej czy później go znajdzie. Dlaczego tak się nim przejmujesz, skoro chcesz, abyśmy korzystali bezpośrednio z powietrza z zewnątrz?

— Myślałem, że ta informacja mogłaby nam się przydać — wyjaśnił Little. — Udało mi się przemycić trzy pozostałe z moich cylindrów z żeletanem, jako elementy do pieca. Nie sądzę, aby wystarczyło go dla całego garnizonu – ale miło byłoby dowiedzieć się jak najwięcej o ich systemie wentylacyjnym.

— Dobra robota, doc. Po jedzeniu dowiemy się, co jeszcze udało się chłopcom przeszmuglować na górę, jeśli w ogóle cokolwiek, i zrobić jakąś przybliżoną inwentaryzację tych rzeczy. Może zdołamy wymyślić jakiś plan wydostania się stąd. Szkoda, że nie wiemy, co się stało z *Gomeisą*; nie sądzę, żebyśmy dali sobie radę ze sterami tego statku na zewnątrz. — Magill wygłosił tę uwagę z tak głęboką powagą, że Little musiał się uśmiechnąć.

— Chyba jesteś zbyt dużym optymistą, Keys. Pamiętaj, że Weganie, których przecież trudno nazwać głupcami, są tutaj już od pewnego czasu i nie zdołali dotrzeć nawet do pierwszej bazy.

— Są upośledzeni fizycznie, doc. Nie są w stanie przeżyć dłużej na zewnątrz bez dodatkowych źródeł promieniowania ultrafioletowego, i

muszą wszystko planować, mając to na uwadze. Ponadto grawitacja jest tu prawie dwa razy większa niż na Wedze Pięć i mogą się poruszać tylko pełzając z trudem.

Little musiał przyznać słuszność tym argumentom, ale pozostał, jakby to nazwał Magill, pesymistą. Rozwinął w sobie zdrowy szacunek dla porywaczy, jednocześnie z lekkim zrozumieniem ich motywów. Problem polegał na tym, że opisany przez Wegan sposób, w jaki pentapody odgadywały przeznaczenie urządzeń jeszcze przed ich ukończeniem, nie pasował zbyt dobrze do jego teorii dotyczącej tych motywów. Niezbędne było dokładniejsze przemyślenie tej sprawy. Pozwolił sobie na to, podczas gdy Magill poprowadził go z powrotem do miejsca uwięzienia i czekającego na nich obiadu.

Posiłek był dobry. Oczywiście nie było żadnego powodu, dla którego miałoby być inaczej, skoro kucharz miał do dyspozycji wszystkie swoje zwykłe zapasy i sprzęt; ale Little był trochę zaskoczony ciesząc się obiadem w tej paskudnej sytuacji, równie mocno, jakby był na swoim statku. Wydawało się to nienaturalne. Jedli na korytarzu, kucając w kręgu przed drzwiami kuchni. Weganie, których kwatery znajdowały się bezpośrednio naprzeciwko, obserwowali ich z drzwi. Od czasu do czasu coś komentowali, ale bardzo rzadko udzielano im na odpowiedzi, ponieważ do mówienia po wegańsku potrzeba obu rąk. Prawdopodobnie poczuliby się zlekceważeni, gdyby nie fakt, że jeden z nich – nie ten, który służył jako tłumacz – rozumiał trochę po angielsku. Wyłapywał jakieś dwa słowa na pięć, ale udało mu się utrzymać swoją rasę w rozmowie.

Po zakończeniu posiłku, natychmiast zostało zorganizowane posiedzenie komisji do spraw sposobów i środków, w skład której weszli wszyscy ludzie i Weganie z sąsiedztwa. Obecność osób niebędących członkami, choć niechętnie widziana, została wymuszona siłą, i dyskusja rozpoczęła się pod czujnym okiem ośmiu lub dziesięciu pentapodów. Przewodniczył bardziej Little, niż Magill.

— Pierwszą rzeczą, którą musimy zrobić — powiedział, — to dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o naszych pięcionożnych przyjaciołach. Weganie byli z nimi dłużej i prawdopodobnie wiedzą więcej niż my; ale ze względu na względną powolność ich mowy, pozostawimy przedstawienie ich wkładu na koniec. Ci z nich, którzy rozumieją angielski, mogą tłumaczyć treść naszej dyskusji swoim towarzyszom, jeśli chcą, ale potem zorganizujemy drugie spotkanie i omówimy wszystko również w waszym języku. A więc, po pierwsze, proszę aby zgłosili się wszyscy, którym udało się przeszmuglować tutaj jakąkolwiek broń lub narzędzia które prawdopodobnie trzeba było przemycać. Kiedy będziecie to robić, trzymajcie ręce w kieszeniach i patrzcie prosto na mnie; istnieje spore prawdopodobieństwo, że nasi przyjaciele są bardzo dobrzy w interpretacji gestów – nawet gestów ludzkich.

Człowiek znajdujący się w kręgu naprzeciwko Little’a, podniósł rękę. Lekarz skinął głową w jego stronę.

— Kiedy ładowaliśmy jedzenie, zanim zrobiliśmy sobie przerwę, wrzuciłem do plecaka swój pakiet testujący. Nie próbowałem tego w żaden sposób maskować, a potem skoncentrowałem się na zapakowanych artykułach żywnościowych, aby wyglądało to naturalnie.

Powiedział to jeden z asystentów Goldthwaite'a, wysoki człowiek z insygniami mata technika. Little dość dobrze go znał. Urodził się na Ziemi, ale wyraźnie widać było po nim dziedzictwo kilku pokoleń na planecie-kolonii Regulus Sześć - grube kości, ciemna skóra, szybkie reakcje.

— Dobra robota, Dennis. Co jest w pakiecie?

— Szczypce, amperomierz-woltomierz, jakieś sześćdziesiąt stóp srebrnego drutu różnej grubości, siatka dyfrakcyjna, dwa tysiące linii, miniaturowa atomowa spawarka do drutów, sześć płasko-wypukłych soczewek o różnych ogniskowych, pręt podtrzymujący, w komplecie z dwoma zwierciadłami, oraz mały stroboskop.

— Zatem, całe przenośne laboratorium — zauważył Little. — Gratulacje. Leo, pewnie prześcignąłeś swojego brata?

Leo Dennis, brat bliźniak pierwszego mówcy, pokręcił przecząco głową.

— Tylko staromodna ręczna maszynka do golenia. Od jutra zaczynam przyjmować oferty.

Little uśmiechnął się i przejechał palcem po brodzie.

— Spóźniłeś się, chyba że ktoś przyniósł nożyce, żeby zacząć od strzyżenia. Maszynki do golenia nie zostały stworzone, aby dać sobie radę z mniej więcej dziesięciodniowym zarostem. Nieważne, znajdziemy dla niej zastosowanie – w końcu to narzędzie tnące. Dalej?

Nastąpiła chwila ciszy, każdy spoglądał wyczekująco na swoich sąsiadów. Najwyraźniej to było wszystko. Little odezwał się ponownie.

— Czy ktoś próbował coś przemycić i nie udało mu się?

— Próbowałem uratować trunek Goldy'ego, ale mi go zabrali — odparł jeden z ludzi. — Pewnie są mocno przekonani, że to jakiś zabójczy środek. Życzę im powodzenia w jego analizie – nam nigdy się to nie udało.

— Jak daleko dotarłeś, zanim ci to zabrali?

— Pozwolili mi pozbierać porozrzucane na ziemi butelki i włożyć je do skrzynki; kiedy to robiłem obserwowało mnie z pół tuzina pentapodów. Ale kiedy spróbowałem przenieść skrzynkę w stronę bramy – oczywiście było z tym trochę pracy, jak to powiedział Goldy – podeszli do mnie i po prostu wszystkie mi zabrali. Nie zachowywali się brutalnie ani nic w tym rodzaju.

— A więc, to nie był tak naprawdę przypadek wykrytego przemytu; nie starałeś się ukryć swoich prawdziwych intencji. Zgadza się?

— Tak, panie doktorze. Nie bardzo wiem, jak mógłbym ukryć tę skrzynkę, czy też butelki; miałem po prostu nadzieję że mi się uda, wbrew wszystkiemu.

Little skinął głową i zapytał o kolejne przemycone rzeczy. Odpowiedział mu jeden z artylerzystów.

— Znalazłem kilka skrzynek z granatami i włożyłem parę z nich do kieszeni. Następną rzeczą, którą sobie przypominam, to jedna z

rozgwiazd, trzymająca mnie za ręce, a druga zabierająca mi je. Obchodziły się z nimi, jakby wiedziały, czym one są.

— Przypuszczam, że sprawdziłeś zawleczki, zanim wsadziłeś granaty do kieszeni?

— Oczywiście, panie doktorze.

Little pokiwał ze znużeniem głową.

— Oczywiście. I to wystarczyło naszym naprawdę sprytnym przyjaciołom. Przyznaję, że przestrzeganie przepisów to zwykle bardzo dobry pomysł, ale od każdej reguły są wyjątki. Myślę, że obecne okoliczności stanowią wyjątek od większości z nich. Inne zgłoszenia?

Najwyraźniej nikt inny nie znalazł niczego, dostatecznie atrakcyjnego, aby próbować potajemnie zabrać to ze stosów ekwipunku. Doktor szczególnie się tym nie przejął; uważał, że z tego źródła zdobył wystarczającą ilość danych, a pewien pomysł szybko nabierał kształtów. Niestety podstawowa idea tego pomysłu wymagała od niego jeszcze większej wiedzy, choć nie o samych porywaczach. Może Weganie będą w stanie dostarczyć mu odpowiednich informacji, ale Little nie założyłby się o to.

Magill zakończył dyskusję, wspominając o środkach znieczulających, które zdobył Little, i prosząc o wcześniejsze przekazywanie wszystkich pomysłów. Ludzie rozchodzili się w mniejszych grupach, rozmawiając cicho między sobą, i stopniowo chowali się za drzwiami swoich pokoi lub wychodzili na dach. Magill również wyszedł, aby zabrać małą grupę z powrotem na dół, po śpiwory.

Little został z Weganami. Miał do nich wiele pytań, a sprawy, które można by omówić w ciągu godziny normalnej rozmowy, prawdopodobnie zajmą im trzy lub cztery godziny wymachiwania rękoma. Usiadł tuż poza wachlarzem intensywnego światła z jednych drzwi, a obce stworzenia utworzyły półkole w środku – drzwi były szerokie na czterech ludzi, ponieważ zostały zbudowane tak, aby umożliwiać wejście pentapodom. Lekarz rozpoczął rozmowę.

— Jak długo już tutaj jesteście? — brzmiało jego pierwsze pytanie. Odpowiedział na to osobnik, który pełnił rolę tłumacza.

— Od naszego przybycia tutaj, minęło mniej więcej dwieście dni na tej planecie. Nie jesteśmy pewni, jak długo one trwają, ale wydaje nam się, że około trzydziestu waszych godzin. Nie mamy jednak pojęcia, ile czasu upłynęło pomiędzy naszym schwytaniem i przybyciem w to miejsce. Lecieliśmy małym prywatnym statkiem na wycieczkę turystyczną na planetę, która ostatnio została odnaleziona w pobliżu centrum galaktyki przez jeden z naszych oficjalnych statków eksploracyjnych, i byliśmy blisko jej zgłoszonej pozycji, kiedy zostaliśmy złapani. Po prostu nas pochłonęli – ustawili się i magnesami wciągnęli nasz statek do śluzy ładunkowej. Byliśmy na ich statku przez długi czas, zanim nas tu przywieźli i wypuścili. Dopóki nie znaleźliśmy się w tym miejscu, nie wolno nam było korzystać z żadnych naszych rzeczy z wyjątkiem żywności oraz

lamp ultrafioletowych. Nie wiemy więc, jak długo trwała ta podróż. Jeden z nas — Weganin wskazał tego osobnika — zebrał w sobie na tyle odwagi, aby pewnej nocy zapuścić się na dach i zobaczył coś, co jak sądzi jest Galaktyką; tak więc uważamy, że ta planeta leży w Obłoku. Wy będziecie w stanie lepiej to wyjaśnić – jesteście w stanie dłużej niż my znosić ciemności, a wasze oczy sprawniej lokalizują słabo widoczne szczegóły.

— Możecie mieć rację. Kiedy nas złapano, zmierzaliśmy właśnie w stronę Obłoku — odparł Little. — Jaką macie swobodę poruszania się po forcie?

— Wolno nam chodzić prawie wszędzie nad ziemią — brzmiała odpowiedź. — Niektórzy z ich obserwatorów — giętka antena wskazała na wszechobecnych strażników — zawsze nam towarzyszą i nie pozwalają nam zjechać windami jeszcze niżej. Ponadto, na wyższych poziomach jest kilka pomieszczeń, które są zawsze zamknięte, oraz dwa lub trzy, otwarte, ale których progu nie wolno nam przekraczać.

— W jaki sposób uniemożliwiają wam wejście do nich?

— Po prostu stają przed nami i odpychają nas, jeśli nalegamy na wejście. Nigdy nie stosowali wobec nas przemocy. Nie muszą tego robić; nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się ich żądaniom. Nie możemy równać się z nimi pod względem fizycznym i jesteśmy w bardzo odmiennym środowisku naturalnym od naszego.

— Czy udało wam się wydedukować coś na temat charakteru lub przeznaczenia pomieszczeń, do których zabroniono wam wstępu?

— Zakładamy, że są to sterownie, biura komunikacyjne lub pomieszczenia z mapami. Jedno z nich zawiera kilka urządzeń, które wyglądają jak zwykłe ekrany telewizyjne. Czy są one przeznaczone do obserwacji dalekiego zasięgu, czy też stanową jedynie część lokalnego systemu, oczywiście, nie potrafimy powiedzieć.

Little przez chwilę się zastanowił, zanim ponownie się odezwał.

— Wspominaliście o zbudowaniu kilku urządzeń, które miały pomóc wam w ucieczce, tyle że zostały wam zabrane tuż przed ich ukończeniem. Czy możesz podać mi więcej szczegółów na temat tego, co się wydarzyło? Co robiliście i na jakim etapie wam przerwano? W jaki sposób chcieliście uciec z planety?

— Nie planowaliśmy ucieczki. Chcieliśmy tylko zmusić ich do odlotu, abyśmy mogli przejąć fort. Kiedy odłączyliśmy ich rury świetlne, aby wprowadzić własne oświetlenie, jemu — wskazał na stworzenie obok niego — udało się schować kawałek rury. Na jej ściankach pozostały zaabsorbowane warstwy kilku gazów, ale głównym składnikiem był neon. Przemyciliśmy z naszego statku konwertery neutrin i stabilizatory — a Keys uważał, że ci tutaj są bezradni, pomyślał Little… — i przyszło nam do głowy, że możemy zainicjować reakcję tlenowo – neonową, która zalałaby to miejsce powodzą ultrafioletu. Zauważyliśmy wcześniej, że oni znoszą to równie źle jak i wy. Okres połowicznego rozpadu w tym procesie byłby rzędu dwunastu godzin, co powinno przepędzić ich stąd na czas wystarczający dla naszych celów. Strumień neutrino o bardzo umiarkowanej mocy, właściwie dostrojony, mógłby z łatwością katalizować taką reakcję w każdej świetlówce w forcie. Zbudowaliśmy emiter,

maskując go jako kolejną lampę ultrafioletową, i podłączaliśmy właśnie konwerter, kiedy do pomieszczenia wpadło prawie pięćdziesięciu strażników, zabrało wszystko i wybiegło, zanim lampy, które już zamontowaliśmy, zdołały wyrządzić im jakąkolwiek krzywdę.

Little heroicznie powstrzymał się od wypytywania stworów, dlaczego nie przemyciły tutaj całego swojego statku, kiedy kręciły się po jego pokładzie, i nie odleciały. Weganie nie doceniliby żartu.

— Myślę, że rozumiem cel działania tych stworzeń — oznajmił. — Ale niektóre ich cechy wciąż mnie intrygują. Doskonale działają w zespołach, lepiej niż wyszkoleni ludzcy wojownicy, ale jeśli mój pomysł jest słuszny, ich wiedza techniczna jest mniejsza od naszej. Wspomniałem już wcześniej, mojemu kapitanowi, o ich widocznym braku próżności – to także opiera się na moich przypuszczeniach co do motywów ich schwytania. Jednego jednak zupełnie nie rozumiem. Jak się komunikują? Zawsze niechętnie widziałem tworzenie „wyjaśnień" opartych na telepatii; istnieją pewne przyczyny, które budzą we mnie poważne wątpliwości, czy mogłaby ona w ogóle stanowić jakiś zadowalający zamiennik języka.

Weganie przez chwilę spoglądali na niego ze zdumieniem, uwidaczniającym się w napięciu ich anten.

— Nie wiecie, jak oni rozmawiają? — w końcu zasygnalizował jeden z nich. — To pierwsza i jedyna rzecz, jaką byliśmy w stanie docenić w tym całym ich sztafażu.

Little nachylił się z zaciekawieniem.

— Wyjaśnij mi, proszę — wygestykulował z napięciem. — To może być najważniejsza rzecz, jaką udało nam się do tej pory ustalić.

Weganie wyjaśnili szczegółowo. Bardzo szczegółowo i długo. Widowisko przeciągane było jeszcze przez częste pytania Little'a i raz czy dwa dodatkowo wydłużyło je jego niedoskonałe zrozumienie języka wegańskiego.

Kiedy rozmowa się zakończyła, słońce znalazło się już nisko na zachodzie, ale doktor miał w końcu coś, co uważał za kompletny obraz mentalny nawyków, myśli i natury pentapodów, oraz miał bardziej niż błyskotliwy plan, który mógł przynieść wolność ludzkim i wegańskim więźniom. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Opuścił swoich nieludzkich sojuszników i odszukał Magilla. Znalazł go w zachodnim narożniku dachu, zajętego badaniem terenu widocznego za ogonem statku kosmicznego. Jak zwykle w pobliżu było kilka pentapodów. Leo Dennis zajmował się szkicowaniem w swoim notatniku, zachodniej linii horyzontu, z widocznym zamiarem zaznaczenia miejsca zachodu słońca. Magill najwyraźniej uznał, że asystent nawigatora powinien być w stanie ustalić ich położenie na powierzchni planety, równie dokładnie jak w przestrzeni kosmicznej. Zadanie Dennisa było nieco utrudnione przez kompletny brak przyrządów, ale dawał z siebie wszystko. Little zbliżył się do kwatermistrza.

— Jest coś nowego, Keys?

Oficer pokręcił głową, nie odwracając się.

— Ludzie chodzą po całym dachu, aby sprawdzić, czy są tu gdzieś jakieś wloty wentylatorów, czy coś podobnego. Jeden z nich zauważył, że brak nadbudówki sugeruje, iż dach może być wykorzystany jako miejsce lądowania dla statków powietrznych, i na poparcie tej tezy znalazł ślady podmuchu gazów wylotowych. Poza tym, nikt inny nie zameldował niczego godnego uwagi. Ale jeśli są tu jakieś samoloty, chciałbym wiedzieć, gdzie oni je przechowują.

— Może to się przydać, choć mam nadzieję, że nie będziemy musieli ich używać. Uważam, chłopcy powinni również wypatrywać, dużych, prawdopodobnie poziomych drzwi zapadkowych, w dachu. Ale, chciałbym się dowiedzieć: z kim dzielę pokój?

— Nie przypominam sobie, tak od ręki — odparł Magill. — To zresztą nie ma wielkiego znaczenia. Jeżeli jest ktoś, kogo chcesz – lub nie chcesz – w swoim pokoju, możesz spokojnie się zamieniać. Powiedziałem o tym chłopcom.

— Dzięki. Chciałbym spędzić trochę czasu z Dennisami, tak żeby nie rzucało się to za bardzo w oczy. Przypuszczam, że oni zostali przydzieleni razem. Nawiasem mówiąc, pamiętając, że jestem oficerem medycznym, czy ktoś zgłaszał że jest chory? Powietrze jest tu odrobinę rzadkawe i oddychamy nim już wystarczająco długo, aby mogły się pokazać jakieś efekty, o ile, oczywiście, w ogóle cokolwiek się pojawi.

Magill pokręcił przecząco głową i Little podszedł do Leo, który ukończył już swój szkic, a teraz starał się zaznaczać pozycje słońca w pięciominutowych odstępach. Miał jeden z niewielu zegarków posiadanych przez grupę. Nie miał absolutnie nic przeciwko temu, aby zastąpić swego wcześniejszego współlokatora lekarzem, zwłaszcza gdy Little obiecał mu coś do zrobienia. Zgodził się porozmawiać z bratem i Cauleyem, którzy początkowo zostali przydzieleni do ich pokoju.

— Powiedz Arthurowi, żeby przyniósł swoją paczkę z pakietem, który przemycił — dodał doktor. — Prawdopodobnie będzie nam potrzebny.

Leo skinął głową, szczerząc zęby w uśmiechu i wrócił do swych prób ustalenia położenia obiektu, o wiele zbyt jasnego, by na niego bezpośrednio patrzeć, który miał szerokość kątową rzędu pół stopnia. Nie wydawał się jeszcze zniechęcony.

Little przeszedł się po dachu, od czasu do czasu spotykając się i rozmawiając z którymś z ludzi. Morale zdawało się być dobre, zauważył z ulgą. Zawsze uważał pracę nad nim za część obowiązków oficera medycznego, ponieważ w końcu miało ono bezpośrednie przełożenie na zdrowie ludzi.

Jego wzrok przykuł ruch od strony zachodzącego słońca. Odwrócił ku niemu twarz i nisko na zachodnim niebie zobaczył wąski, oślepiający półksiężyc, który wschodził coraz wyżej i powiększał się, nawet kiedy na niego patrzył. Planeta, podobnie jak Mars, miała satelitę położonego tak blisko, że okres obrotu trwał krócej niż jej własny dzień. Little zastanawiał

się przez chwilę, czy ciało niebieskie tak blisko planety nie mogłoby się do czegoś przydać. Odłożył tę myśl na przyszłość.

W czasie gdy obserwował księżyc, zaszło słońce i zdał sobie sprawę, że miał rację co do rzadkiego powietrza. Ciemność zapadła prawie natychmiast. Księżyc błyskawicznie zrobił się bardzo jasny – lecz jasność ta była zwodnicza, ponieważ szczegóły krajobrazu niemal natychmiast stały się prawie niemożliwe do rozróżnienia. Zaczęły pojawiać się porozrzucane losowo po niebie gwiazdy; a kiedy zniknęły ostatnie ślady światła dziennego, widoczny stał się, początkowo mglisty, a potem ostry i wyraźny, kształt Galaktyki. Jej rozłożyste spiralne ramiona rozciągały się na ćwierć nieba, a cały układ odchylał się o jakieś trzydzieści stopni od położenia bocznego – akurat na tyle, by widać było wstęgi wielkich pasów pyłowych, rozdzielających ramiona.

Ludzie zaczęli zmierzać w kierunku pomarańczowej poświaty wylewającej się przez panele wejść i okien ich „apartamentu na najwyższym piętrze". Powitał ich gwizdek Denhama, który właśnie skończył przygotowywanie kolejnego posiłku. Zjedzono go podobnie jak pierwszy, na korytarzu, przy milczącej obecności strażników. Ludzie coraz bardziej przyzwyczajali się do tych stworzeń i ich obecność już im nie przeszkadzała. Rozmowy były błahe, z wyjątkiem sytuacji, gdy Arthur Dennis zaproponował, że na ten wieczór zajmie stanowisko pomocnika Denhama. To była najbardziej prawdopodobna wymówka dla możliwości wejścia do kuchni-spiżarni, w której składowano pakunki. Nikt tej propozycji nie skomentował, choć wszyscy odgadli jej przyczynę.

Okna i drzwi wszystkich pokoi pozostały otwarte, te pierwsze z powodu rady Little'a, te drugie, ponieważ pentapody usunęły wszystkie środki do zamykania wejść – prywatność była niemożliwa, co w najmniejszym stopniu nie zdziwiło doktora. Pod zakończeniu posiłku towarzyszył Leo Dennisowi do pokoju tego ostatniego, który znajdował się blisko przeciwległego od windy końca korytarza, i czekali na przybycie Arthura. Krótkie dochodzenie rozwiązało tajemnicę sposobu gaszenia w pokoju rur świetlnych, co nieco zaciemniało to miejsce, ale światło z korytarza wystarczało, aby można było się po nim poruszać.

Arthur przyszedł po około piętnastu minutach, niosąc pod pachami trzy paczki. Dwie z nich rzucił bratu i lekarzowi, mówiąc: „Poduszki i tak są jednakowe!". Ostatni zatrzymał dla siebie. Trzej mężczyźni zrolowali pakunki i umieścili je pod płótnem w głowach śpiworów, przez cały czas świadomi nieustannej obserwacji od strony drzwi; potem oparli się o ścianę i odprężyli.

Bliźniacy mieli tytoń i cała trójka zapaliła, podczas rozmowy. Uwaga Leo, która otworzyła rozmowę, uspokoiła Little'a co do pewnego problemu, który go trapił.

— Zanim zrobimy lub powiemy cokolwiek więcej, doc — powiedział nawigator. — Zastanów się dobrze, nim cokolwiek nam wyjawisz. Podejrzewam, że zdobyłeś od Wegan całkiem sporo nowych informacji i

nie zdziwiłbym się, gdybyś miał już zaplanowaną w głowie całą tę kampanię, ale nie chcę wiedzieć więcej, niż to jest konieczne. Z tego co powiedzieli Weganie i z tego co sam widziałem, nabrałem bardzo zdrowego szacunku dla intuicji, umiejętności odgadywania, czy jakiejkolwiek innej zdolności, cechującej naszych milczących obserwatorów. To sprawia, że czuję się nieswojo. A im mniej wiem, tym bardziej naturalnie będę się zachowywać. Dobrze?

— W porządku; taki też miałem zamiar — odparł doktor. — Nie powiem wam ani słowa więcej, niż to niezbędne. Przede wszystkim, tak samo jak i Magill, chciałbym poznać naszą lokalizację na tej planecie i lokalizację tej planety w kosmosie. To bez wątpienia jest twoje zadanie, Leo. Potem chciałbym otrzymać informację o najdogodniej położonej bazie lub statku Unii. To wszystko. Nie sądzę, abyśmy mogli się stąd wydostać, choć prawdopodobnie Keys będzie próbował. Swoje nadzieje pokładam w tym, że uda nam się wysłać wiadomość z wnętrza naszego więzienia, a resztę zrobią już ludzie na zewnątrz.

Bracia kiwnęli głowami.

— To dosyć jasne — powiedział Leo, — i prawdopodobnie będę w stanie całkiem nieźle nas zlokalizować, jeśli… Art, czy mówiłeś, że masz w tym pakiecie siatkę dyfrakcyjną?

— Tak — padła odpowiedź. — Potrzebujesz jej?

— Nie jestem pewien, ale prawdopodobnie tak. Będę musiał jakoś zidentyfikować gwiazdę lokalnego sygnału nawigacyjnego, a jego spektrum będzie najbardziej wyróżniającym się znakiem rozpoznawczym. Może doktor i ja wyjdziemy teraz na zewnątrz i trochę pogapimy się w gwiazdy, podczas gdy ty zawiniesz się w swoim śpiworze i sprawdzisz, czy nasze cienie nie pójdą za nami? Jeśli tak się stanie, będziesz mógł poszukać w swoim pakiecie, kiedy nikt cię nie będzie widział, i wyjść za kilka minut na dach, z kratką i paroma soczewkami, o których wspominałeś. Jeśli nie, zrobimy co się da gołym okiem i wrócimy. Brzmi rozsądnie?

— Absolutnie. Do zobaczenia.

Arthur zgasił niedopałek papierosa, poluzował pasek i koszulę, a potem zaczął zdejmować buty, podczas gdy Leo i Little wstali i wyszli na korytarz. Pentapody, porozrzucane po korytarzu, wpatrywały się w nich, gdy wychodzili ze środka, ale nie wykonały żadnego ruchu, aby ich zatrzymać. Drzwi wychodzące na zewnątrz były uchylone przez Ziemian, zgodnie z ich polityką unikania korzystania z systemu wentylacji budynku, a strażnicy ewidentnie stosowali zasadę nieingerencji w odniesieniu do wszystkiego poza bronią. Panel był więc ciągle częściowo otwarty.

Little otworzył go szeroko i obaj mężczyźni wyszli na dach. Ku ich zaskoczeniu, nie śledzono ich; ale obaj zdawali sobie sprawę, że strażnicy mogli być już wcześniej na dachu. Wyszli ze smugi światła od drzwi i zbliżyli się do najbliższej ściany.

Góry na północnym wschodzie rysowały się na tle niemal równo czarnego nieba; las u ich stóp był nie do rozróżnienia. Żadna poświata ani iskra światła nie zdradzały obecności ludzi, którzy uciekli dziewięć godzin temu, choć Little i Dennis wpatrywali się uważnie. Nawet odbicie światła od rzeki, która według doktora musiała tam być, nie łamało ciemnej przestrzeni.

Niebo oferowało więcej rzeczy do oglądania. Galaktyka znajdowała się obecnie niżej na zachodzie, a księżyc wzbił się wyżej. Dennis, patrząc na ten drugi obiekt, wykonał w myśli parę szybkich obliczeń. Księżyc wzszedł około półtorej godziny temu i prawdopodobnie osiągnie zenit za nieco ponad godzinę. Jego okres syderyczny musi zatem wynosić około ośmiu godzin, a odległość od powierzchni planety, jeśli miała ona mniej więcej takie same rozmiary i masę jak Ziemia, wynosiłaby nieco ponad osiem tysięcy mil. Był już prawie w „pierwszej kwadrze”, ale jego ciemna strona była lekko widoczna, prawdopodobnie oświetlona przez światło odbite od planety. Nieco mniej niż cztery godziny po zachodzie słońca, satelita powinien wejść w cień planety i pozostawać w stanie zaćmienia przez około czterdzieści minut, chyba że jego orbita była bardziej nachylona w stosunku do orbity planety, niż się wydawało.

Little patrzył na gwiazdy na niebie, poukładane w nieznane konstelacje.

— Która z nich stanowi lokalny sygnał nawigacyjny i jak go zidentyfikować? — spytał. — I dlaczego wybrano jedną gwiazdę, by stworzyć sygnał?

— Uzyskanie informacji o położeniu możliwe by było na podstawie dowolnych trzech gwiazd, które są umiejscowione na mapach — odpowiedział Dennis, — z reguły jednak znacznie łatwiej jest korzystać tylko z wybranych z nich, ponieważ stworzono dostosowane do nich tabele i są one łatwiejsze do zidentyfikowania. Oczywiście nie mam ze sobą dokładnych tabel, ale nawet same sygnały nawigacyjne dla tej okolicy i Galaktyki, zebrane razem, dałaby mi całkiem niezłe pojęcie o tym, gdzie jesteśmy. Naturalnie jako sygnałów nawigacyjnych używamy najjaśniejszych dostępnych gwiazd – na przykład Rigela i Deneba w sektorze słonecznym. Do nawigacji w Wielkim Obłoku używamy nieco innego systemu, który wykorzystuje dwa supergiganty w Galaktyce i jeden lokalny sygnał nawigacyjny obejmujący cały Obłok – S Doradusa. Nie powinien on być trudny do odnalezienia, pomimo braku przyrządów, ponieważ nawet z odległości tysiąca parseków jest to gwiazda pierwszej wielkości. Zawsze jednak lepiej sprawdzić widmo, jeśli tylko jest to możliwe. Większość gwiazd nawigacyjnych to oczywiście nadolbrzymy klasy O, B lub M, ale zwykle istnieją między nimi pewne wykrywalne indywidualne różnice, które mogą zostać wychwycone przez dobry przyrząd. Nie mamy dobrego przyrządu, ale na szczęście S Doradus ma bardzo charakterystyczne widmo.

Little skinął głową.

— Jak do tej pory, nadążam za tobą. Nie mów mi tylko, w jaki sposób wykorzystujesz obserwacje, aby obliczyć położenie; z pewnością

przekraczałoby to zakres moich zdolności matematycznych, a ja nie lubię wychodzić na głupca.

— To nie jest takie trudne – elementarna trygonometria sferyczna. Jeśli ktoś wie, czym jest cosinus kierunku, dalej nie będzie już żadnych problemów. Prawdę mówiąc, właśnie dokładnie w ten sposób oblicza się położenie – korzystając z trzech cosinusów kierunkowych dla wybranych sygnałów nawigacyjnych oraz z odległości. Nie wiem jeszcze jak obliczymy tę odległość – potrafię oszacować jasność gwiazdy z dokładnością do jednej dziesiątej wielkości, ale nawet tak niewielkiemu procentowi, może odpowiadać bardzo duża odległość. Zwykle możemy używać triangulacji, ale nie w Obłoku.

— Wierzę ci na słowo — odparł lekarz. — Widzisz coś, co mogłoby być tym twoim sygnałem?

— Tuż nad północnym horyzontem znajduje się dosyć jasny obiekt, który wydaje się mieć żółtawy odcień; a prosto nad nim jest kolejny. Jeśli Artowi uda się dotrzeć tutaj z soczewkami i siatką, sprawdzę je. Obawiam się, że nie da rady tego zrobić, ponieważ te cholerne głąby nie poszły za nami na dach i nie dały mu szansy aby mógł poszukać w pakiecie.

— Może jakoś udało mu się, pomimo tego — zauważył lekarz.

— A może spróbował i zabrali mu pakiet — padła pesymistyczna odpowiedź.

Nawet u Little'a zaczęło narastać zniechęcenie, kiedy w końcu pojawił się Arthur. Czekali na dachu już niemalże godzinę. Dla zabicia czasu, Little spacerował wzdłuż ścian starając się zobaczyć, czy w dole czegoś nie widać, a Leo obserwował zbliżającego się do zenitu satelitę. Doszedł już wcześniej do wniosku, że słońce zachodziło praktycznie „prosto w dół", czyli znajdowali się gdzieś w pobliżu równika planety. Teraz wydawało się, że księżyc porusza się w płaszczyźnie równikowej, ponieważ wznosił się do punktu prosto nad ich głowami. Obecnie, był już dobrze po pierwszej kwadrze, ale wciąż było widać na jego tarczy nieoświetlony półksiężyc. Lew właśnie zauważył ten fakt, gdy głos Artura przerwał jego myśli.

— Przyjąłem, że potrzebujesz soczewek do jakiegoś rodzaju teleskopu, i odpowiednio je dobrałem — powiedział inżynier. — Dużo czasu zajęło mi wyciągnięcie pakietu z pakunku i schowanie go do śpiwora, ponieważ strażnicy zaglądali do mnie co dwie, trzy minuty. Nie wiem, co będzie, kiedy zauważą że mnie nie ma.

— A ja, wiem, ty matole — odparł Leo. — Dwóch czy trzech z nich wybiegnie tutaj za nami, a paru innych skorzysta z okazji, by sprawdzić pakunek, który tak często przekładałeś.

— Tak myślisz? — spytał Artur. — Tu są soczewki i siatka. Przyniosłem też pręt i zaciski do soczewek, ale obawiam się, że będziesz musiał sobie poradzić bez tubusu.

Jego brat wziął przyniesione rzeczy i zabrał się do pracy. Doktor przyglądał się temu w milczeniu. Arthur przyniósł także światło i przytrzymywał je nad stopniem, który służył jako stół warsztatowy.

Leo po chwili namysłu odłożył jedną soczewkę i użył innej – o większej ogniskowej. Przymocował ją na jednym końcu pręta, płaską stroną w stronę środka. Siatka była mniejsza niż soczewka, i docisnął ją do płaskiej powierzchni tej ostatniej, a nadmiar szkła przesłonił papierem. Kolejny skrawek papieru – kartka wyrwana ze szkicownika – została przymocowana do pręta w odległości ogniskowej soczewki, uzupełniając prymitywny spektroskop.

Postawił przyrząd na ścianie, opierając go tak, aby był skierowany w stronę północnego horyzontu i jednej z gwiazd, o których wspominał wcześniej. Nachylił się nad instrumentem, aby odciąć światło księżyca. Pozostała dwójka również pochyliła się, aby zobaczyć wyniki.

Na papierowym ekranie widoczna była niewielka kolorowa smuga, wąska jak narysowana ołówkiem kreska. Leo przysunął do niej oczy, na tyle blisko na ile mógł, starając się wypatrzyć maleńkie ciemne przerwy, które powinny się na niej znajdować; ale rozdzielczość instrumentu nie była wystarczająco duża. Po chwili wrócił do pierwotnego pomysłu, usuwając papier i mocując drugą soczewkę w normalnej pozycji okularu. To okazało się dobrym posunięciem. Mógł rozróżnić prążki widma na tyle dobrze, aby bez żadnej wątpliwości zidentyfikować oba wytypowane przez siebie obiekty, jako gwiazdy typu słonecznego G, odległe prawdopodobnie nie więcej niż o kilka parseków. Na pewno żadna z nich nie była olbrzymem, którego szukał.

Na twarzy nawigatora pojawiło się zatroskanie. Gołym okiem widocznych było parę tysięcy gwiazd i tylko kilka z nich, w oczywisty sposób, mogło zostać odrzucone jako cele jego poszukiwań. Po kilku minutach, zaczął metodycznie badać wszystkie jaśniejsze żółte i białe gwiazdy, jedną po drugiej. Arthur i lekarz rozumieli, że przeszkadzanie mu w pracy na pewno jej nie przyśpieszy, więc wycofali się o kilka jardów i rozmawiali przyciszonymi głosami.

— Co zrobisz, kiedy Leo obliczy naszą pozycję? — zapytał technik. Pewnie masz jakiś pomysł?.

— Realizacja mojego pomysłu zależy prawie całkowicie od ciebie — odparł Little. — Słyszałem, że nadajnik drugiego rzędu jest znacznie mniej skomplikowany niż zwykłe radio. Czy dasz radę go zbudować?

Dennis zmarszczył brwi i zawahał się.

— Gdybym miał wszystkie materiały i nikt by mi w tym nie przeszkadzał, tak. W obecnej sytuacji, nie wiem czy cały niezbędny sprzęt jest dostępny i jestem prawie pewien, że i tak nie pozwoliliby go nam zbudować.

— Mówiłeś, że w twoim pakiecie znajdowały się dwa narzędzia atomowe, spawarka i stroboskop — powiedział Little. — Czy wymontowane z nich części, by nie wystarczyły?

I ponownie Dennis przez chwilę milczał, aby pomyśleć.

— Spawarka się do tego nie nadaje – to po prostu konwerter i wolframowy pręt. Stroboskop konwertuje korzystając bezpośrednio z

prądu elektrycznego i oscylatora zmiennego i… wydaje mi się, że można by go wykorzystać. Ale radio działałoby tylko z niewielką mocą, a zasięg byłby taki, że nie ma o czym mówić.

— To nie ma znaczenia, tak jak ja to widzę. Chciałbym tylko wiedzieć, czy dasz radę zbudować nadajnik wizyjny, z materiałów które są pod ręką…

— Chwileczkę! — przerwał mu Arthur. — Nie mówiłem o urządzeniu wizyjnym. Po co ci ono? Chodziło mi tylko o transmisję głosu. To nie będzie jakoś specjalnie trudne.

Little pokręcił głową.

— Wizja albo nic. Nie chcę ci mówić, dlaczego – z powodów, które wymienił Leo. Ale jeśli nie chcesz, żebym musiał przerobić cały plan, proszę cię, znajdź sposób na zbudowanie nadajnika wizyjnego. I z niechęcią cię tak naciskam, ale chciałbym, żebyś zrobił to zanim ten statek znów stąd odleci. Nie wiem, jak długo oni zwykle tutaj pozostają, ale zauważyłem, że uzupełniają zapasy.

— Jasne — wyjęczał Dennis. — Natychmiast. Doc, gdyby chodziło o kogoś innego, od razu bym powiedział, że ma nie po kolei w głowie, ale w twoim przypadku to jedynie poważne podejrzenie. Spróbuję – lecz Bóg jeden wie, skąd wezmę lampę kineskopową.

Little uśmiechnął się skryty w ciemności.

— Weganie mówili mi, że przemycili kompletne wyposażenie neutrinowe. Zabrali im je później, ale daje to pewne wyobrażenie, o tym co można zrobić.

— Przypuszczam, że nie przekazali ci informacji o swoich sposobach? Nie jestem aż tak dumny, żeby czegoś się od nich nie nauczyć.

— Nie pytałem ich. Wokół było pełno strażników. Powodzenia!

Little wrócił do Leo, który rozłożył ręce. Przyrząd nie wykrył jeszcze spektrum żadnej gwiazdy klasy O.

— Gdybym chociaż był pewien, że ona tam jest, nie miałbym nic przeciwko takiemu wynikowi dotychczasowych poszukiwań — stwierdził, ocierając czoło. — Ale równie prawdopodobne jest, że nasz olbrzym znajduje się teraz na dziennej połowie nieba. Wolałbym nie czekać tutaj przez połowę czasu, jaki zajmuje tej planecie okrążenie słońca, tylko po to aby zorientować się gdzie jestem.

Little pokiwał głową ze współczuciem – w końcu to on potrzebował ich lokalizacji.

— Czy światło księżyca ci nie przeszkadzało? — spytał.

— Tak było, dopóki nie zrobiłem prymitywnego tubusu z papieru. Trochę trudno jest to wszystko trzymać razem w kupie. Ale jeśli już mówimy o księżycu, doc, czy zauważyłeś pewną dziwną rzecz, w związku z nim?

— W życiu bym nie zauważył — odparł Little. — Czy coś jest z nim nie tak? Dla mnie wygląda zupełnie normalnie.

— A dla mnie, nie. Mógł tak wyglądać zaraz po zachodzie słońca, kiedy był tylko wąskim półksiężycem. Widzieliśmy wtedy resztę tarczy, ale mogło to wyjaśniać odbicie planety. Ale teraz już nie może! Ten cholerny księżyc jest już prawie w pełni a nadal widać ten pasek, do którego słońce nie dociera. Ta planeta raczej nie odbija wystarczającej ilości światła. Co więc go oświetla?

— Obawiam się, że nie ma sensu pytać o to mnie — stwierdził lekarz. — Mogę tylko zagwarantować, że nie chodzi tu o radioaktywność, ponieważ tak duża ilość radioaktywnej materii, w tak niewielkiej odległości, uniemożliwiłaby istnienie życia na tej planecie. Byłaby wypalona do stanu sterylnego; a my sami prawdopodobnie bylibyśmy już martwi. Nie znam się na astronomii, ale mogę ci powiedzieć wszystko co chcesz, o oparzeniach spowodowanych promieniami gamma.

— To również i mnie przyszło do głowy — zgodził się Leo. — Wydaje się, że na tym satelicie musi znajdować się i świecić coś, co w tej chwili jest dla nas niewidoczne. Myślę, że za kilka minut będziemy mogli powiedzieć, skąd to coś świeci.

— Jakim cudem? — spytali Little i Arthur jednym głosem.

— Księżyc powinien wkrótce wejść w cień planety — odpowiedział Leo. — Będziemy mieli zaćmienie księżyca. Satelita musi przechodzić przez nie przy każdym obiegu – prawie cztery razy na dzień, można powiedzieć. Nie będzie dopływu światła słonecznego, z wyjątkiem niewielkiej ilości, rozproszonej przez atmosferę planety, i powinniśmy móc określić kierunek źródła tej tajemniczej jasności, na podstawie kształtu oświetlonego przez nią obszaru. Poczekajmy.

Pozostała dwójka skinęła głową. Nawet Little, który nie był astronomem, rozumiał mechanizm zaćmienia. Cała trójka usiadła na szerokich schodach po wewnętrznej stronie ściany.

Nie musieli długo czekać. Od zachodu słońca minęły jakieś trzy godziny i kwadrans, a pierwsze wysunięte macki ogromnej galaktyki właśnie zaczęły chować się za zachodnim horyzontem, kiedy Leo zauważył lekkie pociemnienie wschodniego skraju księżyca, obecnie znajdującego się niemal w pełni. Całe zjawisko nie wyglądało tak, jak długie zaćmienie ziemskiego Księżyca; ten satelita poruszał się znacznie szybciej i pokonanie odległości własnej średnicy zajęło mu niecałą minutę. Jego tarcza początkowo lekko poczerwieniała, gdy księżyc zanurzał się w regionie oświetlonym tylko przez światło rozproszone w atmosferze; potem niemal zniknęła, kiedy niewielkie ciało niebieskie weszło w umbra cienia planety.

Satelita powinien zniknąć całkowicie. Nie było możliwości aby jakiś poblask słońca, odbitego od okrążanej planety, dał mu choćby odrobinę światła, ponieważ spoglądał w dół wyłącznie na jej nocną stronę. A jednak część jego tarczy wciąż była widoczna – widmowy, słabo świecący półksiężyc, nieco mniejszy niż połowa całości, skierowany wypukłą stroną na wschód. Nie było wątpliwości, co do natury źródła tego światła. Leo

oszacował odległość księżyca nad wschodnim horyzontem i szerokość kątową oświetlonej powierzchni; była tylko niewielka różnica.

— Niedługo wzejdzie — oznajmił. — Zostaję, żeby to zobaczyć. Wy, moi drodzy, jeśli chcecie możecie wracać do łóżek; jesteśmy tutaj już ponad dwie godziny i będziemy potrzebowali trochę snu.

— My też zostaniemy — odparł Little. — Robi się interesująco. Myślisz, że to jakiś inny, bardzo jasny księżyc? Może nawet wystarczająco duży, aby nadawał się do zamieszkania?

Leo pokręcił głową.

— Nie wierzę, aby jakikolwiek księżyc mógł dać takie efekty — powiedział.

Arthur skinął głową w milczeniu i przez wiele minut cała trójka siedziała bez słowa, podczas gdy lekko świecący półksiężyc schodził coraz niżej w stronę wschodniego horyzontu. Lew ocenił w przybliżeniu, że zaćmienie powinno trwać około czterdziestu minut.

Nie zakończyło się jeszcze, gdy Arthur bez słowa wskazał ręką na wschód. Zadzior pasma gór, którego główne szczyty leżały na północnym wschodzie, zrobił się nieco jaśniejszy, rysując się na tle nagle pojaśniałego skrawka nieba. Blask rósł w siłę i coraz bardziej się rozprzestrzeniał, przyćmiewając gwiazdy w tej części nieba, całkiem jakby nadciągał świt; i zupełnie nagle jego źródło wypłynęło spoza osłony skrywającej je góry i pojawiło się w pełnej krasie. Wypukłości krajobrazu nagle stały się widoczne, rzucając długie cienie w świetle przybysza, który unosił się, znacznie jaśniejszy niż księżyc w najjaśniejszym stadium, wydawało się tuż ponad górskimi szczytami.

Ludzie patrzyli z podziwem. Mieli okazję podziwiać szaleńczy blask spiralnych strumieni gazu wyrzucanych z podwójnych gwiazd, takich jak Beta Liry; przelatywali przez serca gromad kulistych, z miriadami ogromnych gwiazd z każdej strony; ale jakoś samotna, majestatyczna wspaniałość tego obiektu, sprawiała bardziej imponujące wrażenie. Gwiazda – zbyt odległa, aby było ją widać w formie dysku – zbyt jasna, aby można było na nią bezpośrednio patrzeć, gasiła otaczające ją obiekty niebieskie. Nawet księżyc wyślizgujący się z cienia w cichy, pokorny sposób nie wydawał się już taki jasny.

Arthur Dennis był pierwszym, który się odezwał.

— Niezła jest, prawda? Przypuszczam, że to towarzysz tego słońca, albo coś…

— Albo coś — wszedł mu w słowo Leo, chwytając za spektroskop.

Ogromna gwiazda była biała, z lekkim cieniem topazu w blasku, a Leo miał skłonność do szybkiego wyciągania wniosków. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na instrument, gdy przesuwał go lekko od lewej do prawej. Uśmiechnął się, usunął soczewkę okularu, zastąpił ją papierowym ekranem, jak w początkowym zestawie, i trzy głowy pochyliły się ponownie, by spojrzeć na kolorową smugę.

Tym razem to nie była smuga. Pośrodku, bezpośrednio za soczewką obiektywu, znajdował się pojedynczy jasny punkt, a po obu jego stronach rozciągała się przerywana seria kresek – pasma intensywnej emisji, obwiedzione po stronie fioletowej dosyć ostrymi ciemnymi liniami, które

charakteryzują to, co pierwsi astronomowie nazywali gwiazdą typu „P Cygni”. Ciągłe spektrum tła było zbyt słabe, aby je pokazać; siatka była tak gruba, że kilka prążków widma padło na papier w jednym miejscu.

— I to jest ten twój sygnał nawigacyjny! — stwierdził Little po kilku chwilach ciszy. — No cóż, na pewno zasłużył na to miano.

— Możesz teraz określić naszą lokalizację? — spytał Arthur. — Zdaje się, że nie musisz zbyt wiele liczyć, wystarczy powiedzieć coś w rodzaju „w pobliżu S Doradusa”, jak widać.

— Niedobrze, cholera — odparł Leo. — Kiedy mówiłem, że potrafię ocenić jasność gwiazdy do jednej dziesiątej jej wielkości, myślałem o przyzwoitych gwiazdach z widocznymi jasnościami od zera do plus sześć. Dla tego czegoś, nie wiem, czy wynosi ona minus pięć, czy minus piętnaście, a więc czy to cholerstwo jest trzy czwarte parseka stąd, czy osiemdziesiąt parseków. Ale określę kierunek i może znajdę sposób na zmierzenie jasności. Zajmę się tym, a wy martwicie się, co z tym zrobić kiedy już to obliczę. Dobranoc.

Odprawa była dosyć wyraźna, i Leo skupił całą swoją uwagę na notatniku, w którym prowadził swoje obliczenia, więc Little i Arthur po cichu wycofali się. Podobnie zrobili wszyscy strażnicy oprócz jednego, który obserwował, stojąc niewidoczny w cieniu nadbudówki.

Dr Little z zaskoczeniem otworzył oczy i uświadomił sobie, że jest już jasny dzień. Był to pierwszy jego sen w warunkach normalnej grawitacji, od kilku tygodni, i jego ciało wykorzystało go w pełni. Pozostałe dwa śpiwory były puste, ale obaj bracia Dennisowie byli w pokoju. Stali przy oknie, zdejmując kawałek płótna, który najwyraźniej został na nim rozwinięty. Little usiadł.

— Co wy tam teraz kombinujecie? — spytał. — Leo, czy ty nigdy nie śpisz?

— Pewnie, jeśli muszę. Spałeś przez dwanaście godzin, doc. Obudziliśmy cię?

— Dwanaście godzin! Nie, to chyba było moje sumienie. Co to za pomysł z tymi zasłonami na oknie? Nie mamy nawet drzwi, więc nie może być mowy o prywatności.

— Zasłanialiśmy się przed słońcem. Było to potrzebne dla Leo — odparł Arthur. — Próbował uzyskać widmo słońca i potrzebował tylko wąskiej smugi przechodzącej przez siatkę.

— I otrzymaliście je?

— Pewnie. — Tym razem odpowiedział mu Leo. — I znaleźliśmy przy tym zastosowanie dla maszynki do golenia. Ostrza doskonale się nadają do wykonania nacięcia na smugę światła. Ten pacan oczywiście nie miał w swym cudownym pakiecie testowym niczego, co by się do tego nadawało. Nawiasem mówiąc, Art, czy wciąż masz ten pakiet, czy też nasi przyjaciele zabrali ci go zeszłej nocy?

— Ktoś w nim grzebał — odparł Arthur — ale zostawili go nam. Może myśleli, że nie ma w nim niczego, co moglibyśmy wykorzystać.

— Myślę, że i tak by go zostawili — zauważył lekarz, szczerząc się z wyrazu niedowierzania na twarzach obu swych towarzyszy.

Leo podszedł do śpiwora brata i wyjął pudełko z pakietem.

— Ty wiesz najlepiej, doc. W takim razie przejrzę go i sprawdzę czy nie ma w nim czegoś przydatnego, o czym Art zapomniał wspomnieć – Art, ty kretynie!

— A teraz, co znowu? — spytał inżynier nie ruszając się.

— Spawarka i stroboskop, o których mówiłeś – zniknęły! A ty opowiadasz, że strażnicy musieli uznać zawartość pakietu za nieszkodliwą. Co teraz zrobimy?

— Spawarka i stroboskop spoczywają bezpiecznie w moich kieszeniach i znalazły się tam już zeszłej nocy. Myślałeś że ktoś je zabrał, co? Czy kiedykolwiek pomyślałeś o czymś, w taki sposób żeby mi nie dopiec? Martwisz się o swoją działkę; pozwolisz więc, że ja zajmę się moją, mam nadzieję.

Ostatnie zdanie było wywołane rozbawionym spojrzeniem doktora.

Wyszli na zewnątrz, dołączając się do zmieszanego tłumu ludzi i pentapodów na korytarzu, a Arthur poszedł do kuchni. Wyglądało na to, że na stałe podjął pracę jako pomocnik kucharza. Little odnalazł kwatermistrza i zaczął omawiać możliwe działania na ten dzień. Wydawało się, że jest ich niewiele. Większość członków załogi była tego czy innego rodzaju specjalistami, ekspertami w obszarach wiedzy i umiejętności niezbędnych do lotu i walki krążownikiem międzygwiezdnym; wszystkim jednak dokuczał brak materiałów i narzędzi. Jedynym sposobem, na ich zdobycie, była kradzież, w której marynarze z *Gomeisy* raczej się nie specjalizowali. Jedyna rada, jakiej Little mógł udzielić, polegała na tym, że ludzie powinni zrobić wszystko co się da, aby przemycać materiały, niezależnie od swoich zawodów, a każdy kto wpadnie na jakiś możliwy do wykonania pomysł, powinien poinformować innych, o tym co mu jest potrzebne do jego realizacji. Nie było to zbyt pomocne, ponieważ wszyscy już wcześniej wpadli na ten pomysł. Wyglądało na to, że czas będzie płynąć raczej nudnawo.

Tak też się stało. Ludzie spacerowali sobie mniej więcej swobodnie po dachu i korytarzach budynku i od czasu do czasu wychodzili do stosów zapasów po potrzebne im materiały. Ku zaskoczeniu Magilla, ale nie Little'a, bez słowa sprzeciwu pozwolono im zabierać, nawet elementy aparatury naukowej.

— Nie rozumiem tego — powiedział kwatermistrz, gdy jeden z ludzi doniósł, że wniósł przenośny atomowy piec do przetapiania metali. — Każdy przecież wie, że w rękach więźnia może to być bardzo niebezpieczne narzędzie. Dlaczego pozwalają nam je zabrać?

— Dla mnie osobiście — odparł Little, — jest to jeden z najmniej zagadkowych czynników. Sposób, w jaki nas traktują, wskazuje że jest tylko jeden powód naszego pochwycenia – aby się od nas uczyć. Tak więc, oczywiście, musimy mieć dostęp do narzędzi i sprzętu naukowego. Potem

będą obserwować podejmowane przez nas wysiłki aby uciec, i pomoże im to w zrozumieniu rezultatów naszej pracy. Co w tym takiego zagadkowego?

Magill milczał przez kilka chwil.

— Przyjmijmy taki wniosek — powiedział w końcu, — to oczywiste. Nie rozumiem, dlaczego sam wcześniej na to nie wpadłem. Przypuszczam, że dlatego właśnie uznałeś, iż oni nie mogą być zarozumiałą i próżną rasą – podejmują tak ogromne wysiłki, aby zabrać wiedzę innym. Ale co się stanie, jeśli odrobinę się spóźnią z odebraniem nam broni?

— Wygląda na to, że gotowi są podjąć to ryzyko. Jak dotąd udawało im się z Weganami i zauważ, że mają całą naszą standardową broń. Ta ich umiejętność odgadywania celu naszych działań jest naszym głównym problemem. To niezwykłe; w większości wypadków prawie niemożliwe jest, aby dwie spotykające się po raz pierwszy rasy, rozumiały nawzajem swoje standardowe gesty, nie mówiąc już o naturalnych, niestereotypowych ruchach twarzy i ciała. Ale zrób, co w twojej mocy.

Little nie powiedział, że dzięki informacjom uzyskanym od Wegan, był w stanie wydedukować przyczynę tej niemalże telepatycznej zdolności odgadywania, pentapodów; nie wspomniał również o planie, który on i bracia Dennisowie próbowali wprowadzić w życie. Jeśli Magill spróbuje zrealizować własne pomysły, prawdopodobnie zajmie to znaczną część uwagi strażników. Chociaż Little wcale nie chciał, żeby wszyscy byli tym zajęci.

Raporty ludzi, którzy obchodzili budynek, były zgodne z tym co wcześniej przekazali Weganie – większość miejsc była dozwolona, zabronione było schodzenie poniżej poziomu ziemi, niektóre pomieszczenia były zamknięte, a inne były otwarte, ale ludzi trzymano od nich z daleka. Jedno z pomieszczeń, na najwyższym piętrze, prawie bezpośrednio pod kwaterami więziennymi, wyglądało na biuro łączności – co było naturalną sytuacją, jeśli dach był pierwotnie wykorzystywany jako lądowisko. Przeznaczenie większości pozostałych, nie było jasne. Little również trochę pochodził i osobiście sprawdził większość informacji.

Tego wieczora Weganie jedli razem z ludźmi; oczywiście swoje własne zapasy wykorzystali już dawno temu i żyli dzięki pożywieniu dostarczanemu przez pentapody. Zdaniem Wegan, było ono bez wątpienia jadalne, ale dalekie od przyjemnego. Arthur Dennis zaserwował im jedzenie u drzwi, a po posiłku odniósł ich menażki do kuchni. Gdy jedli ludzie, strażnicy zwykle wycofywali się na pewną odległość; najwyraźniej nie podobały im się zapachy. W związku z tym w kuchni nie było żadnego ze stworzeń, kiedy Arthur odniósł do niej z powrotem swój pakiet. Jego samodzielny przydział na miejsce pomocnika kucharza, stawał się coraz bardziej użyteczny, jak stwierdził.

Dni we więzieniu bywają zazwyczaj nudne. Noce są lepsze, ponieważ można przez chwilę zasnąć i zapomnieć o nudzie; ale Arthur Dennis wiedział, że począwszy od tej nocy będzie sypiał dosyć krótko, chociaż

planował wymienić swój śpiwór na jakiś o kilka rozmiarów większy, i spędzać w nim znacznie więcej czasu. Postanowił przyzwyczaić wszystkich do chowania twarzy pod częściowo opuszczoną płócienną klapą śpiwora, a jego towarzysze z pokoju mieli go naśladować, aby cała akcja wydawała się bardziej naturalna. Kiedy pozostali mieszkańcy weszli do pokoju, był bardzo wesoły.

— Mam lampę kineskopową, doc — powiedział z głębi śpiwora. — To mnie najbardziej martwiło. Mogłem zbudować konwerter drugiego rzędu, z rzeczy które już miałem, i prawdopodobnie uda mi się wyciągnąć od innych chłopaków wystarczająco dużo, aby wykonać podłączenia do lamp. To szczęście, że pozwolili nam zatrzymać ręczne latarki. Nie wiem, jak po ciemku złożyłbym to wszystko razem.

— A gdzie zdobyłeś tę lampę? — spytał Little. — Nie widziałem, żebyś schodził w ciągu dnia na dół, i nie sądzę, aby wielu ludzi zorientowało się, że strażnicy bez problemu przepuszczają sporo urządzeń, więc nikt nie zrobił tego za ciebie.

Arthur uśmiechnął się szeroko w ciemności.

— Ponieważ nie znałem wspomnianych wcześniej wegańskich metod, założyłem się z jednym z Wegan o pięćdziesiąt kredytów Unii, że tego nie da się zrobić – dodatkowo sugerując swoje wątpliwości odnośnie do jego opowieści o przemycie urządzenia neutrinowego. Dziś wieczorem, po posiłku włożył ją do swojej menażki, a ja wyjąłem ją w kuchni. Był trochę najeżony z powodu mojej nieuprzejmości, ale od razu go przeprosiłam, jeszcze tego samego wieczora i uspokoił się. Spłacę ten zakład, jeśli i kiedy dotrzemy do jakiejś planety Unii i uda mi się zdobyć trochę pieniędzy. — Inżynier przestał mówić i klapa znów opadła na wejście do śpiwora.

W pokoju zapadła cisza, przerywana równomiernym oddechem dwóch ludzi i od czasu do czasu niemal niesłyszalnymi krokami strażnika na zewnątrz. Raz czy dwa, na drzwi padał cień, gdy jedno ze stworzeń zaglądało do środka, ale zasłonięcie światła osiągnęło zamierzony cel i niczego nie zobaczyło. Dennis i tak był ostrożny i nie pozwalał aby przez wyściełane płótno śpiwora widoczne były jakiekolwiek jego ruchy.

Tej nocy nic mu nie przeszkadzało i pracował przez dwie lub trzy godziny, zanim schował częściowo ukończone urządzenie do swojego pakietu i poszedł spać.

Następnego ranka Littlemu przyszło do głowy, że Weganie mogą mieć jakieś informacje o prawdopodobnej długości pobytu statku na planecie. Po porannym posiłku przykucnął przed drzwiami ich kwater i zaczął wypytywać obce stworzenia.

— Zwykle zostają tu około dziesięciu dni — brzmiała odpowiedź. — Ale nie można tego powiedzieć z całą pewnością. Po raz pierwszy, odkąd tu jesteśmy, przywieziono więźniów. Nie zaobserwowaliśmy, jak długo pozostawali tutaj podczas naszego przybycia – za bardzo byliśmy zajęci innymi rzeczami.

— A jak długo zwykle pozostają w kosmosie?

— Nie ma tu żadnego „zwykle”. Okres pobytu poza planetą jest zupełnie nieprzewidywalny, o ile nam wiadomo. Czasami statek wylatywał tylko na jeden dzień, czasami na parę tygodni. Najwyraźniej nie jest to krążownik patrolowy, o regularnym rytmie lotów.

Little podziękował stworzeniu i wyszedł, aby zastanowić się nad znaczeniem nowopoznanych faktów dla swoich planów. Niemal natychmiast zawrócił, by zadać kolejne pytanie:

— Czy garnizon fortu wydaje się oczekiwać statku w każdej chwili aż do jego faktycznego przylotu?

— Nie ma żadnych widocznych oznak tego, o ile nam wiadomo — brzmiała odpowiedź.

Little skinął głową, zadowolony. Odszukał braci Dennisów. Leo siedział w sypialni, próbując z soczewek gogli przyciemniających, które inżynier atomowy znalazł w swej kieszeni, zbudować fotometr. Lekarz znalazł Artura, sprowadził go z powrotem do ich sali i zaczął wypytywać, czy którykolwiek z nich wie coś o geletanie.

— Niewiele — odparł Leo. — Jak rozumiem, gelatan jest czymś więcej niż zwykłym środkiem usypiającym, sądząc po tym że słyszałem, iż pod jego wpływem przeżyłeś ekspozycję na działanie przestrzeni kosmicznej.

— Zgadza się — skinął głową Little. — Powoduje on, z grubsza mówiąc, stan zawieszenia procesów życiowych. Gelatan jest adsorbowany na powierzchniach wszystkich komórek ciała, włączając w to obecne w organizmie zewnętrzne bakterie, i zabezpiecza je przed oddziaływaniem chemicznym. Można by się spodziewać, że efektem jego działania będzie śmierć, ponieważ wskutek zniszczenia filmu gazowego niemożliwe jest ponowne wznowienie procesów życiowych, ale jednak pacjent zawsze ożywa. Udało mi się znaleźć dziesięć różnych rozpraw naukowych w Bibliotece Medycznej w Nowym Jorku, z których każda sugeruje inny mechanizm tego zjawiska, jednak żaden z ich nie jest w pełni zadowalający. Zniszczenie filmu, wydaje się następować wszędzie w tej samej chwili, i natychmiast potem we krwi pojawiają się anormalne duże ilości dwutlenku węgla, ale cały ten proces nie jest jeszcze w pełni zrozumiany.

Wygląda jednak na to, że to same ściany komórkowe wydają się powodować rozpad filmu; a jeśli osoba narażona na działanie gazu gwałtownie temu przeciwdziała, takie działanie zostaje nasilone do punktu, w którym gaz nie ma na nią żadnego wpływu. Jeśli wstrzyma swój oddech i jakiś w inny sposób zawiesi funkcjonowanie ciała, osiąga to niemal natychmiast. A więc, jak widzicie, gaz ma naturę działania wszystko – albo nic. Chciałem, żebyście to dobrze zrozumieli, ponieważ możliwe, że w najbliższej przyszłości będziemy musieli użyć tego gazu. Przemyślcie to.

Twarze braci pozbawione były niemalże wyrazu, ale widać było, że zastanawiali się nad całą sprawą ze sporą przyjemnością. Arthur, nieco bardziej pomysłowy z tej dwójki, od razu zorientował się, że atak gazowy musi odbyć się po zakończeniu budowy komunikatora, aby wcześniej mogli go użyć.

Z tą przyjemną perspektywą w myślach, kolejnej nocy Arthur pracował jeszcze nawet dłużej. Udało mu się ukończyć konwerter i zanim senność zmusiła go do przerwania pracy, zaczął konstruować stopkę lampy i jej połączeń. Ponownie jego działania najwyraźniej uszły uwagi nieustannie kręcących się strażników. Następnego ranka rozbudzone nadzieje tak wyraźnie rysowały się mu na twarzy, że brat kopnął go mocno i boleśnie w goleń, aby przypomnieć mu o niewiarygodnych umiejętnościach rozpoznawania wyrazu twarzy przez pentapodów.

Zameldował Littlemu, że urządzenie prawdopodobnie zostanie ukończone jeszcze tej nocy. Lekarz skinął głową i powiedział:

— Dobra robota, Art. Pewnie mamy jeszcze z tydzień do odlotu statku, ale idzie nam lepiej, niż się spodziewałem. Kiedy tylko Leo ukończy fotometr i określi odległość od S Doradusa, sprawy ruszą z miejsca; a to nie powinno już długo potrwać.

Mówiąc to Little miał rację tylko w połowie; sprawy przyśpieszyły biegu już niebawem, ale nie czekały na to, aż nawigator ukończy swoje zadanie.

Doktor znalazł Leo siedzącego na jednym ze stopni otaczających zewnętrzną ścianę. Z uwagą przyglądał się przedmiotowi, składającemu się głównie z kilku małych fragmentów przyciemnionego szkła, który był jego upragnionym fotometrem; i podobnie jak brat, miał oczywiście dobry humor.

— Wszystko gotowe, doc — powiedział, widząc Littlego. — Mogę wykonać pomiary dziś wieczorem – skalibrować urządzenie na gwiazdach, które potrafię ocenić, a następnie namierzyć sygnał nawigacyjny. Na szczęście, już znam jego absolutną wielkość. Jak myślisz, jakie są szanse, że ten gadżet Arta dotrze do jakiegoś odbiornika Unii?

Little uśmiechnął się bez słowa i wzruszył ramionami. Jego zdaniem to pytanie było nieistotne, ale nie chciał mówić tego na głos. Mógłby zostać źle zrozumiany. Na sto procent uważał, że zostaną złapani, kiedy tylko spróbują rozpocząć nadawanie. Nie zdradzając się, napomniał Leo, aby nie zgubił fotometru, i poszedł szukać Magilla.

Rozmawiał z nim poważnie przez kilka minut, składając kilka próśb, które zostały spełnione dopiero po usilnych namowach. Jedna z nich miała związek z usuwaniem odpadów kuchennych, chociaż tym razem zainteresowanie lekarza nie było związane z warunkami sanitarnymi.

Reszta dnia minęła równie nudno, co dwa poprzednie.

Wieczór zastał trzech konspiratorów w ich pokoju, gdzie planowali zajęcia na noc. Arthur oczywiście miał pozostać na miejscu, zajmując się „spaniem". Trudno było im zdecydować, czy Little powinien zostać z nim, czy towarzyszyć Leo podczas jego ekspedycji astronomicznej. Gdyby poszedł z nawigatorem bez wyraźnego celu, strażnicy mogliby się zastanawiać, dlaczego był jedynym chętnym ciekawskim do zwiedzania, i dlaczego Arthur też z nimi nie poszedł; gdyby został, mogliby się

zastanawiać, dlaczego dzisiaj zachowywał się inaczej niż poprzednio, i zainteresować się śpiącym. Nawet ten niewielki wgląd w procesy myślowe obcych, jaki do tej pory zyskali, nie był w stanie im pomóc w odpowiedzi na to pytanie.

W końcu zdecydował się towarzyszyć Leo, niosąc mu ołówek i notatnik, aby zapewnić sobie wymówkę. Tak jak poprzednio, żaden ze strażników nie wyszedł za nimi przez drzwi. Zajęli swoje dawne miejsce pod ścianą i usiedli na schodach, czekając aż wzejdzie S Doradus. Księżyc był ledwie tuż po pierwszej kwadrze, a tej nocy gwiazda miała pojawić się dopiero w jakieś dwie godziny po zaćmieniu, musieli więc poczekać prawie cztery godziny. Postanowili przyjść wcześniej, aby nie zasnąć i nie przegapić okazji.

Po raz pierwszy od ich przybycia na planetę na niebie pojawiły się chmury. Zapewniły one temat do rozmowy i niepokoju przez prawie trzy godziny, ponieważ dwukrotnie całkowicie przesłoniły niebo; ale zanim gasnący księżyc zszedł nisko nad wschodni horyzont, zniknęły. Pozostały czas do rozpoczęcia obserwacji upłynął w ciszy.

Gdy blask na wschodnim horyzoncie zaczął ostrzegać przed wzejściem potężnej gwiazdy, Leo zabrał się do pracy. Każdy z kawałków szkła, pozyskanych z gogli inżyniera, został po kolei przetestowany. Gwiazdy oglądane przez przyciemnione szkło były porównywane z widzianymi bezpośrednio. Little zapisywał wyniki w notatniku, chociaż tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Soczewki były oryginalnie bardzo równomiernie zaciemnione i, o ile tylko Leo mógł oszacować, filtr grubości pojedynczego kawałka szkła zmniejszał jasność obiektu o około trzy i pięć dziesiątych.

Kiedy gwiazda nawigacyjna wzeszła, jego jedynym zadaniem było znalezienie liczby warstw szkła niezbędnych do zmniejszenia jej pozornej jasności do jasności wybranej gwiazdy leżącej w zasięgu, dla której znał poprawną ocenę. Metoda, oczywiście, pozostawiała miejsce na błędy, które kumulowały się wraz z każdą dodatkowo zastosowaną warstwą szklanego filtra, ale była lepsza niż zgadywanie; a zresztą, jak zauważył Leo, ponieważ S Doradus był nieregularną gwiazdą zmienną, najlepsze instrumenty w Cywilizacji także dawałyby wynik z możliwym błędem rozmiarów ponad pół wielkości.

Robił pomiary i liczył.

— Art miał co do tego prawie rację — zauważył w końcu. — W pobliżu S Doradusa, to było niemalże dokładne określenie. Otrzymałem widoczną wielkość minus czternaście, co oznacza odległość nieco poniżej jednego parseka. — Wyrwał z notatnika nową kartkę papieru i szybko zaczął na niej pisać. — Proszę — powiedział wręczając ją Littlemu, — to pełna specyfikacja naszej lokalizacji, z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku – nie mogę określić jej dokładniej. Obejmuje ona także typ tej planety i gwiazdy, w standardowych kategoriach, oraz przybliżoną ocenę naszej szerokości geograficznej na planecie. Jeśli wyemitujesz to w eter i ktoś cię usłyszy, odnajdzie nas.

— A w dodatku możesz pójść dalej i nadać to, kiedy tylko wszystkie strachajły się na to zgodzą — przerwał im nowy głos. — Urządzenie jest

gotowe. Oczywiście nie przetestowałem go, ale będzie działać. Powiedz tylko słowo, doc.

Little pokręcił głową.

— Nie dziś. Musimy znaleźć jakiś sposób, aby nadany komunikat nie rzucał się zbyt mocno w oczy. Chodźmy do łóżek i porozmawiamy sobie, po drodze. Niedobrze by było, gdybyśmy teraz się potknęli.

Wstali i podeszli powoli do oświetlonego wejścia.

— Wydaje mi się, że musimy zagazować strażników tylko w bezpośrednim sąsiedztwie, a więc wystarczy zamknąć się w kwaterach, tak by oni zostali na zewnątrz. Na głównych drzwiach nie ma żadnych zamków od zewnątrz i mógłbym zaspawać drzwi windy spawarką – nie używałem jej przy budowie nadajnika i powinna wytrzymać obciążenie wystarczająco długo.

Weszli do korytarza.

— To się może udać — zadumał się doktor. — Jest tylko jedna winda, a poza nią na dach nie ma z dołu żadnych innych wejść. Ale dobrze byłoby zarobić tyle czasu, ile się da, a wydaje mi się, że drzwi windy przepalą w kilka minut.

Weszli do pokoju, w którym spali.

— Można by temu zapobiec, po prostu zostawiając otwarte drzwi, kiedy winda będzie na górze, i w tym czasie rozpocząć całą akcję — wtrącił Leo, ściągając buty. — Wtedy ani nie mogli dostać się tu windą, ani zamknąć jej drzwi.

— A co z innymi ludźmi? — zapytał Little. — Trudno będzie im powiedzieć o geletanie oraz jak uniknąć jego skutków. Co…

— Możecie przestać się o to martwić — przerwał Arthur. Położył się na poszewce poduszki śpiwora, przepchnął ją w wygodniejsze miejsce i zauważył łatwość, z jaką się przesunęła. Z nagłym podejrzeniem, zajrzał do pudełka z zestawem. — Komunikator zniknął.

Być może strażnicy na korytarzu i na dachu radowali się, jeśli wśród ich nieludzkich procesów mózgowych w ogóle rozwinęły się emocje zbliżone do humoru. Z pewnością byli zadowoleni z siebie.

— Ty durniu — warknął Leo. — Po cholerę świętowałeś zakończenie budowy komunikatora przez łzawe wędrówki na dwór, żeby nam o tym powiedzieć? Równie dobrze mogłeś po prostu wyjść za drzwi i oddać go strażnikom.

Noc minęła niezbyt spokojnie, pomimo rady Little'a, aby odłożyć oskarżenia do rana. Relacje między bliźniakami stały się nieco napięte. Wpadające przez okno światło słoneczne aż nazbyt wyraźnie pokazywało na twarzy Leo wyraz zadowolenia z siebie, wyższości w rodzaju „ja nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego”, która zwykle rozpala żądzę mordu w sercach najbardziej nawet skruszonych grzeszników.

— Rozpocznijmy może naszą dyskusję — wtrącił się doktor. — Leo, odpuść Arthurowi. Jeśli cię to choć trochę pocieszy, Art, to powiem ci, że gdyby żaden z was, chłopcy, nie puścił farby w ciągu najbliższego dnia,

czy dwu, musiałbym to zrobić ja sam – oczywiście z największą ostrożnością. Lepiej, że wszystko wydarzyło się w naturalny sposób. Teraz siadajcie, jeśli macie ochotę, przybierzcie pełne zniechęcenia miny na potrzeby strażników, i słuchajcie. To zajmie nam trochę czasu.

Przede wszystkim, przypuszczam, że do tej pory zdaliście już sobie sprawę z tego, że zostaliśmy schwytani jedynie w celach obserwacyjnych; pentapodzi dzięki podejmowanym przez nas próbom ucieczki, mieli nadzieję zdobyć informacje o naszym uzbrojeniu i wiedzy naukowej.

Trzeba przyznać, że im się to udało całkiem nieźle. Nasze działania prawdopodobnie były dla nich oczywiste już od samego początku, ale naturalnie zaczekali, aż ukończymy komunikator, zanim go przyjęli. Ta ich metoda działania od razu rzuciła mi się w oczy, gdy Weganie po raz pierwszy opisali nam że nigdy nie przeszkadzano im w ich planach, niemal aż do ich zakończenia.

Pojawiło się również pytanie o zaskakującą łatwość, z jaką byli w stanie zrozumieć nasze odczucia i intencje. Długo zajęło mi odkrycie przyczyny tego, ale ponownie dostarczyły tutaj klucza informacje przekazane przez Wegan.

Ich język nie ma charakteru werbalnego. Nikt z nas nigdy nie słyszał, żeby wydawali z siebie dźwięki. Nie potrafiliśmy zrozumieć, w jaki sposób się komunikują, ale dla Wegan było to tak oczywiste, że nie warte było nawet słowa komentarza – język porywaczy był taki sam jak ich własny: wizualny, a nie dźwiękowy, język migowy, w którym tysiące ruchomych kolców, którymi przykryte są ich ciała, zastąpiło dwie anteny wegańskie. Był tak złożony, że Weganie nie potrafili się go nauczyć, ale metoda była dla nich oczywista.

To dało mi prawie pełny obraz nie tylko ich języka, ale także ich umysłów; nie tylko sposobu, w jaki wymieniają się ideami, ale także samej natury tych idei.

Słyszeliście, bez wątpienia, że myśli można traktować jako niewypowiedziane słowa. Oczywiście myślimy również przy pomocy obrazów, ale logiczne rozumowanie, przynajmniej w ludzkich umysłach, przyjmuje formę niewypowiadanej na głos rozmowy z samym sobą. Pomyślcie o dowodzie twierdzenia geometrycznego ze szkoły podstawowej, jeśli mi nie wierzycie. W przypadku istot, takich jak Weganie, zachodzi analogiczny proces; myślą one w kategoriach wizualnych symboli ich języka. Język, jak wiadomo, jest narzędziem powolnym – przekazywanie idei zajmuje znacznie więcej czasu. Zrozumienie czegoś przez Wegan trwa jeszcze dłużej, choć z pewnością nie można nazwać ich głupimi.

Podobne zjawisko powinno zachodzić, i zachodzi, w przypadku naszych porywaczy. Myślą i rozmawiają niezmiernie szybciej niż my; ich myśli nie są wyrażane przez symbole słowne lub wizualne, ale przez mowę ciała. Obserwując ich, doszedłem do wniosku że oni w ogóle nie mają języka, w takim sensie jak my go rozumiemy; ruchy i wzory kolców, które przenoszą myśli między nimi, są tak samo nieświadome i naturalne jak wyrazy naszych twarzy. Różnica polega na tym, że ich „twarze” pokrywają większość ciała i mają znacznie większą zdolność ekspresji. W rezultacie

równie łatwo im się nauczyć interpretacji wyrażeń i póz ciała innych stworzeń, jak nam jakiegoś prostego języka słownego. Kluczem do ich całej aktywności umysłowej jest to, co psycholodzy nazywają mową ciała – lub pozą. Dopóki tego nie pojęliśmy, nie mieliśmy nawet szansy aby wykorzystać ich własne metody do ich pokonania, albo chociaż te metody zrozumieć.

Kiedy Albee i inni, podjęli próbę ucieczki, zauważyliście, że pentapody nie tracili czasu na ściganie ludzi, który byli choćby odrobinę poza ich zasięgiem; potrafią rozumować z niezwykłą szybkością nawet w takich sytuacjach i zdawali sobie sprawę, że nie są w stanie ich złapać. Człowiek przynajmniej by spróbował.

Tak jak wszystko na tym świecie, ta szybka komunikacja ma swoje wady. Te stworzenia nigdy nie wymyśliłyby telefonu, podobnie jak Weganie; i mieliby te same trudności z urządzeniami takimi jak telegraf. Nie wiem nic na temat ich języka pisanego, ale musi mieć on charakter ideograficzny i zawierać, o ile nie przeceniam ich zdolności do wyciągania porządku z chaosu, absolutnie przerażającą liczbę symboli. Kto zdołałby wymyślić kody z kropek i kresek, dla czegoś takiego? Wschodnie ludy na Ziemi miały podobny problem. To zakłóciłoby „ewolucję" urządzeń komunikacyjnych.

Dlatego ich komunikacja na odległość musi mieć charakter czysto wizualny. Widzieliśmy ekrany telewizyjne w ich biurze na dole – mają dziesięć stóp kwadratowych, wystarczająco dużo, aby zobrazować dowolne z tych stworzeń w pełnych rozmiarach. Jestem pewien, że nie potrafią transmitować swoich obrazów na duże odległości. Z dwóch powodów: Weganie twierdzą, że statek wraca zawsze nieoczekiwanie, a przygotowania nigdy nie są rozpoczynane wcześniej niż na kilka godzin przed jego przybyciem – tak jak byłoby to, gdyby mogli transmitować wiadomości o swoim zbliżaniu. Ponadto nigdzie w tym budynku nie ma nawet śladu nadajnika kierunkowego drugiego rzędu, czy choćby pętli zwykłego nadajnika, takiego jak zbudowany przez Arta. Obrazy są przesyłane przewodowo i wyłącznie w obrębie tego budynku. To był powód, Art, dla którego nalegałem abyś stworzył nadajnik obrazu. Telefonu by nie skopiowali. Teraz zdobyli nadajnik; Zbudują urządzenia do transmisji pełnowymiarowych obrazów, zanim ten statek stąd odleci; a ich kabina łączności znajduje się tuż pod nami i powinna mieć w środku także awaryjne akumulatory, na wypadek zaniku zwykłego zasilania.

Kiedy statek odleci, odczekamy jeden dzień. Następnie weźmiemy odpadki kuchenne, które gromadzi Denham, i przeniesiemy je do windy, aby zabrać na zewnątrz – Leo, zgaś proszę ten wyraz szczęścia na swojej twarzy – tworząc tak wielki stos, aby żaden ze strażników nie mógł zjechać razem z nami, w końcu przecież już i tak zazwyczaj tego nie robią. Tuż przed odjazdem windy popsuje się piec i Denham przybiegnie do nas z tą wiadomością. Arthur wróci z nim do kuchni, pogrzebie przy piecu,

zdejmie zbiornik geletanu, który jest teraz do niego przymocowany, zastąpi go innym, i wyrzuci „zużyty” zbiornik razem z resztą odpadów.

Winda zjedzie jedno piętro w dół i wyjdziemy z niej z otwartym zbiornikiem. Pobiegniemy w kierunku biura, który znajduje się na końcu korytarza, aby w ten sposób, poprzez aktywność fizyczną, uniknąć działania geletanu; będziemy trzymać chusteczki przy twarzy, tak by strażnicy wiedzieli, że mamy gaz, i wstrzymali oddech. Dwóch z nas wejdzie do biura łączności, podczas gdy trzeci zostanie na zewnątrz, aby zniszczyć sterowanie drzwiami. Resztę czasu może spędzić zaspawując drzwi, dopóki spawarka nie wysiądzie.

Strażnicy i operatorzy wewnątrz, powinni być już pod wpływem gazu i wyrzucimy ich przed zaspawaniem drzwi. Ci dwaj z nas, którzy zostaną w środku, będą ćwiczyć, dopóki wentylatory nie oczyszczą powietrza w pomieszczeniu; wtedy będziemy mogli skorzystać z transmitera wizyjnego do nadawania naszego serdecznego przesłania, dopóki rozgwiazdy nie ściągną ciężkiego sprzętu i nie przepalą się przez drzwi. W promieniu pięciuset parseków istnieje kilkanaście baz Unii, nawet ja tyle znam, i pięć minut powinno wystarczyć na skontaktowanie się z jedną z nich i przekazanie naszej sytuacji.

Art, czy naprawdę myślałeś, że mam zamiar przebić się dokądś z tym malutkim urządzeniem, które zbudowałeś? Pentapody ściągnęły nas tutaj, abyśmy budowali dla nich nowy sprzęt; zdecydowałem więc, że taka zamiana ról, będzie absolutnie fair play. Mam tylko nadzieję, że te ich piekielnie szybkie umysły nie wyłapią tego, że ktoś inny też może grać w ich grę. Na wszelki wypadek, myślę, że lepiej będzie zacząć pracować z Magillem nad planem, który on wymyślił, cokolwiek by to nie było; to pozwoli nam czymś się zająć i zmniejszy szansę że się zdradzimy. Przy okazji może też dać cenną drugą strzałę do łuku, gdyby nasz plan się nie powiódł. Teraz zjedzmy śniadanie.

Little lekceważąco mówił o „współpracy” z Magillem nad jakimś planem ucieczki, który tamten byłby w stanie wymyślić; podczas śniadania zorientował się jednak, że jednocześnie rozwijane są co najmniej cztery kierunki ataku. Kwatermistrz miał nadzieję, iż choć jeden z tych planów nie zostanie wykryty wystarczająco długo, aby osiągnąć punkt kulminacyjny. Nie podzielił ludzi na osobne grupy pracujące nad każdym z nich. Chciał w ten sposób zmylić strażników, każąc wszystkim pracować jednocześnie nad wszystkimi planami. Z pewnością udało się doprowadzić do zamieszania, chociaż żaden z pentapodów nie wykazywał jego objawów. Little upewniwszy się najpierw, że pozostałe plany nie przeszkodzą w jego osobistym, z radością pogrążył się w sprzecznych zadaniach (1) znalezienia i użycia jednego lub więcej samolotów, które, jak Magill był przekonany, przechowywane były pod dachem; (2) wprowadzenia uzbrojonej grupy ludzi na pojazd międzygwiezdny pentapodów; (3) realizacji oryginalnego wegańskiego planu zalania budynku ultrafioletowym światłem bez jednoczesnej przymusowej

ewakuacji ludzi na zewnątrz; oraz (4) zlokalizowania arsenału pentapodów i, po prostu, oczyszczenia z nich części budynku przy pomocy brutalnej siły. Magill zamierzał wdrożyć ten z powyższych planów, który jako pierwszy osiągnie fazę praktycznego zastosowania.

W ten sposób minęły cztery dni. Praca powodowała, że przynajmniej nie były one tak nudne jak poprzednie trzy, choć poczyniono niewielkie postępy lub wręcz nie osiągnięto żadnych. Jednak piątego dnia rano, tuż po porannym posiłku, miało miejsce wydarzenie, które otworzyło piątą drogę postępowania i niemalże spowodowało, iż Magill porzucił pozostałe.

Jeden z mężczyzn wyszedł na dach i jego krzyk przyciągnął resztę ludzi. Little, podążył za innymi na skraj dachu, wyjrzał poza niego; i został nagrodzony wyraźnym widokiem kompletnie niczego. Nigdzie nie było widać rzędu pentapodów, które ładowały zapasy do ogromnego krążownika, a włazy statku były zamknięte. Ludzie obserwowali to w milczeniu i wyczekiwaniu, raczej pewni tego, co się wydarzy.

Minęło może dziesięć minut w kompletnym milczeniu; potem, bezdźwięcznie i bez żadnych ceremonii, ogromny metalowy cylinder podryfował lekko w górę. Ludzie przez chwilę podążali za nim wzrokiem; pewnie obserwowaliby go dłużej, gdyby ich uwagi nie przyciągnął obiekt odsłonięty przez odlot krążownika.

Tuż za zagłębieniem w ziemi pozostawionym przez wielki statek, pojawiła się druga, znacznie mniejsza, srebrzysta metalowa torpeda; i z każdego niemal ludzkiego gardła na dachu buchnął wrzask. To była *Gomeisa*, jej włazy były otwarte. Statek był najwyraźniej nietknięty i – ewidentnie pusty.

Przez kilka sekund po tym mimowolnym wyrazie zdumienia panowała martwa cisza; potem przemówił Magill.

— To rzuca nowe światło na sytuację. Nie róbcie nic pochopnego, dopóki nie zdecydujemy, jak to wpływa na nasze działania; nasze plany z pewnością będą wymagały modyfikacji. Przez cały ranek przyjmuję pomysły; po obiedzie urządzimy ogólne spotkanie dyskusyjne. — Odwrócił się od krawędzi dachu i wrócił do drzwi.

Denham już od dawna znał swoją rolę; zagrał ją bez żadnych problemów. Do windy wrzucono ładunek śmieci i zbiornik geletanu; następnie weszła do niej trójka spiskowców. Nie ruszył za nimi żaden ze strażników; od chwili odlotu statku koncentrowali się raczej na pilnowaniu dolnych drzwi, a nie na kontrolowaniu wędrówek więźniów po forcie. Little zasunął drzwi klatki windy i dotknął drugiego od góry przycisku, zaś Arthur wyjął z kieszeni spawarkę.

Winda była dosyć powolna, ale potrzebowała zaledwie kilku sekund, aby zjechać na niższy poziom. Zatrzymała się; Little spojrzał na swoich towarzyszy i otworzył drzwi, jednocześnie otwierając zawór zbiornika z gazem. Cała trójka wypadła na korytarz i popędziła w stronę biura, z chusteczkami przyciśniętymi do ust i nosów.

Dwóch pentapodów stało przy otwartych drzwiach pomieszczenia łączności. Natychmiast ruszyli w kierunku zbliżających się ludzi, ale nawet w tym krótkim czasie musieli porozumieć się z innymi w środku, bo za nimi pojawiło się jeszcze trzech innych.

Pomimo że ludzie biegli szybko, gaz rozpraszał się przed nimi; a pozostający najbardziej z tyłu strażnicy, którzy poruszali się wolniej niż inni, paradoksalnie, pierwsi padli pod jego niewidzialnym atakiem. Pozostali usłyszeli, jak upadają na podłogę, wydedukowali przyczynę tego upadku, prawdopodobnie wstrzymali oddech – i także padli jak ścięci. Ludzie wpadli do pomieszczenia, Little wciąż był na czele i stwierdził, że jest ono puste. Najwyraźniej oficerowie łączności dołączyli do strażników i, byli tak pewni swojej możliwości pokonania trzech istot ludzkich, że nawet nie włączyli alarmu.

Leo Dennis skoczył w stronę masy sprzętu, która aż nazbyt wyraźnie przypominała jego ostatnią konstrukcję; Little zawrócił w miejscu, wyrwał spawarkę z ręki Arthura i rzucił się z powrotem przez drzwi.

— Ja zostanę z tej strony — powiedział — i będę nasycał powietrze w korytarzu gazem, przez cały czas gdy tutaj będę. Jestem bardziej do niego przyzwyczajony i prawdopodobnie będę w stanie uniknąć jego efektów dłużej niż ty, Art.

Zatrzasnął z hukiem metalowe wrota, rzucił wciąż otwartą butlę z gazem na korytarzu i zabrał się do pracy z użyciem spawarki. Podczas pracy skakał w górę i w dół, kopał nogami, tańczył i wymachiwał wolną ręką; ale ręka trzymająca palnik pozostawała nieruchoma.

Metal drzwi i ramy z oporem zaczął się topić i rozpływać pod wpływem gorąca. Niewielka dźwignia, która uruchamiała mechanizm otwierający, rozpłynęła się. Z wolna krawędź drzwi zaczęła świecić czerwoną linią, która rozrastała się wokół nich. Linią, która nie przestała powoli rosnąć, nawet kiedy zza rogu wybiegło strażników i padło jak jeden mąż, gdy zatrzymali się na chwilę, aby przyjrzeć się sytuacji. Przynajmniej jeden musiał pozostać wystarczająco daleko w tyle, aby zasygnalizować innym sytuację; kilka sekund później pojawiła się kolejna grupa, ubrana w przezroczyste, workowate kombinezony powietrzne. Niemal w tej samej chwili mała spawarka zgasła.

Little wyprostował się, upuścił urządzenie i zobaczył zbliżających się strażników. Odwrócił się, aby pobiec w kierunku windy, i zobaczył kolejną grupę zbliżającą się szybko także i z tej strony. Zdając sobie sprawę z daremności tej próby, próbował ich ominąć; jeden wykręcił się, wyciągnął odnóża, i chwilę później Little został unieruchomiony, tak jak kiedyś, podczas pierwszej próby wyrwania się na wolność. Ale wciąż był w rejonie powietrza nasyconego geletanem.

Dr Little otworzył oczy z dziwnym uczuciem, że to już się kiedyś wydarzyło. Tym razem pamięć powróciła mu niemal natychmiast; podniósł się, podtrzymywany przez zgromadzonych wokół niego ludzi. Znajdował

się na dachu fortu, gdzie mocny wiatr usunął resztki gazu z jego płuc i ścian komórkowych. Nie było widać strażników.

— Jak poszło? — spytał, widząc koło siebie uśmiechnięte twarze braci Dennisów. — Przebiliście się?

— Tak. Sprowadzenie ciężkie narzędzi i przedostanie się do środka, zajęło im prawie godzinę – w końcu kontrolowaliśmy ich lokalną „centralę telefoniczną". Musieli natychmiast zawrócić swój statek; przyleciał dziesięć minut temu, i teraz pośpiesznie ładują wszystkie rzeczy na jego pokład. Myślę, że odlecą stąd, zanim przybędzie pomoc. Ardomese, z którym rozmawiałem, obiecał przylot eskadry za piętnaście godzin. Szkoda, że ten statek rozgwiazd nie był trochę dalej – tym razem to my moglibyśmy schwytać więźniów. Obawiam się jednak, że będą mieli czas, aby się stąd ulotnić.

— Ale, chyba nie jesteś specjalnie zły z tego powodu, co? — spytał Little. — W końcu nic wam nie zrobili, kiedy dopadli was w pomieszczeniu łączności. Osobiście uważam, że to honorowi przeciwnicy. W końcu sporo ryzykowali, że możemy zrobić właśnie to, co zrobiliśmy; nikomu nie stała się krzywda, a *Gomeisa* nie została poważnie uszkodzona.

— Mimo to popełnili akt wojny przeciwko Unii — przerwał mu Magill, — i skradli wiele cennych informacji. *Gomeisa* miała na pokładzie rzeczy, które mogą uczynić z nich niebezpiecznych wrogów.

— Mieli mnóstwo czasu, aby powielić to uzbrojenie i bez wątpienia to zrobili — odparł Little, — ale jak się wydaje, nie mają zamiaru zostać tutaj i użyć go przeciwko naszym statkom. Myślę, że ich ciekawość miała charakter czysto akademicki; być może dla nich to wszystko było tylko grą. W każdym razie, jakoś nie potrafię się na nich gniewać. Ja sam jestem ciekawski i osobiście raczej polubiłem te stworzenia. Ty też mógłbyś ich tak samo polubić, Keys; to tylko kwestia odpowiedniego nastawienia.

Doktor wymienił znaczące mrugnięcia okiem z braćmi Dennisami.

KONIEC